MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 20. WARSZAWA, 19 MAJA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZGON
Ś. P. MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

W DZIEJACH odrodzonej państwowości polskiej zakończył się w d. 12 maja 1935 r. okres, znaczony nazwiskiem ś. p. Marszałka Józefa Piłsudskiego. W dniu tym zeszedł ze świata człowiek niepospolitej miary, który w nowych, nieustalonych jeszcze stosunkach odrodzonego państwa, zdobył—nie bez tarć wewnętrznych w kraju — stanowisko naczelne, całość Polski nazewnątrz symbolizujące. O tem znaczeniu osoby ś. p. Piłsudskiego świadczą adresy kondolencyjne dworów i rządów państw obcych, obecnie do Warszawy nadchodzące, świadczy o tem skala uroczystości pogrzebowych w kraju.

Jednak, gdy trumna jeszcze otwarta, nie o symbolu jedynie godzi się mówić, zwłaszcza rodakom. Myśl zwraca się ku osobistości Zmarłego.

Pomimo różnic, które dzieliły nasz obóz polityczny od obozu socjalistycznego, różnic nieraz głębokich w poglądach na drogi, wiodące do celu, umieliśmy zawsze oddać co należy ś. p. Piłsudskiemu, jako odrębnej osobistości. Przypominamy choćby uznanie, wyrażone mu w r. 1903 w „Przeglądzie Wszechpolskim" jako dobremu Polakowi. A było to w zaraniu ciężkich walk o zasady życia narodowego. Od tego czasu zaszło wiele wydarzeń, które na szerszej widowni zaznaczały coraz wyraźniej kontur tej niezwykłej postaci.

Walka była żywiołem ś. p. Piłsudskiego, ale nawet na terenie politycznym, gdzie najłatwiej zmylić sąd objektywny o człowieku, przeciwnicy nie mogli nie przyznać mu wysokich zalet, nie mówiąc już o tak elementarnych, jak czystość pobudek i bezinteresowność osobista. Panował w tej postaci rys zasadniczy: siła indywidualności, żołnierska i władcza, siła, mierząca swoje możności na zamiary, nosząca na sobie widoczne zabarwienie romantyczne z dziedzictwa i wychowania. Na przeszkody zaś, które stawały na drodze zamiarom, miał on oręż w niepospolitym talencie taktycznym.

Droga żywota, którą mu los wyznaczył, gdy teraz na nią wstecz patrzymy, nie była prosta i łatwa. Rzec można, warunki i okoliczności, wśród których działał, składały się na to, aby tę drogę utrudnić. Bardzo daleki zdawał się być punkt wyjścia z rewolucjonizmu socjalnego do tej mety,— na której stał obowiązek budowania państwa w stylu właściwym Zachodowi. Podziwiać trzeba siłę rzutu indywidualnego, która pokonywała ten dystans i potrafiła pociągać za sobą innych. Jednostce cokolwiek słabszej, nie mającej przytem tego daru wpływania na innych i panowania, wszystko na tej drodze byłoby przeszkodą, poczynając od ideologji, którą czasy narzuciły. Wszystko to ś. p. Piłsudski w ciężkich walkach, do końca życia prowadzonych ze środowiskiem i z sobą samym, przezwyciężał dzięki utajonemu we krwi patrjotyzmowi. Z tego stanowiska rzecz biorąc, trzeba przyznać słuszność urzędowej „Gazecie Polskiej", która teraz stwierdza, że ś. p. Piłsudski do triumfów swoich „doszedł poprzez walkę i mękę, przez zmaganie się z sobą, narodem własnym i wrogiem".

Patrjotyzm ma właśnie w sobie tę siłę moralną, która jednostce, walczącej z narodem, nie pozwoli nigdy odczuć porażki. Błogo jest umrzeć

za naród, błogo też jest ponieść dla niego ofiarę za swego „ja". Ś. p. Piłsudski umiał, choć uległość nie leżała w jego naturze, ustępować ze swoich pierwotnych założeń, na rzecz oczywistego dobra narodu. I to były jego triumfy największe.

Historja wyróżni go z tła tego okresu właśnie dlatego, że w rezultacie walk godził swoje linje polityczne z nurtem dziejów narodu, że—jak to stwierdza orędzie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej — „z głębi dziejów minionych moc swego ducha czerpał". Sprawiał to jego dobry instynkt narodowy, który, jako nagłębszy w jego naturze, przezwyciężał wszystko, co w niej było z prądów czasu, które go ponieść usiłowały, co było z doktryny i konjunktury. Ten dobry instynkt pozwalał mu rozwinąć dary twórcze i stworzyć dla siebie wyjątkową pozycję.

Wszyscy czują nieomylnie wyjątkowość okresu, który minął wraz ze śmiercią ś. p. Józefa Piłsudskiego. Nikt przez analogję dziedzictwa osobistych darów nie przejmuje. Ś. p. marszałek Piłsudski, jak zaznaczono w pomienionem orędziu, „narodowi przekazał dziedzictwo myśli, o honor i potęgę Państwa dbałej..." Zdarzają się indywidualności, które ciężar, przypadający całemu narodowi, na swoje ramiona biorą, ale gdy takich nie staje, wtedy — jak słusznie przewiduje „Gazeta Polska"—ten „ciężar olbrzymi zsuwa się na naród".

Sprawa tego dziedzictwa jest najważniejszym w tej chwili zagadnieniem wewnętrznem Polski.

W.

PRZEMIANY

DOŚĆ mamy dookoła dowodów na to, że żyjemy w okresie przełomowym, w którym społeczeństwa, niezadowolone z istniejącego porządku rzeczy, szukają nowych form współżycia oraz nowych sposobów produkcji i podziału dóbr ziemskich. W poszukiwaniach tych dość jednolita w teorji panuje zgoda na to, że dominująca do niedawna szkoła reformatorska, marksizm, zbankrutowała, i rzeczywiście wiele objawów wskazuje na to, że socjalizm marksowski stracił wiele ze swego niedawnego powabu nawet dla mas proletarjackich, a przedsięwzięta na wschodzie olbrzymia próba wprowadzenia ustroju, opartego na tych teorjach, pociąga na Zachodzie mniej zwolenników, niżby się można było spodziewać. Możnaby powiedzieć, że po ruchu socjalistycznym pozostał tylko trwały i pożądany osad w postaci uznania uprawnień proletarjatu do wydatniejszej opieki ze strony społeczeństwa i do sprawiedliwszego udziału w ogólnym materjalnym i moralnym dorobku.

Tak jednak nie jest; panowanie ideologji socjalistycznej w ciągu długiego czasu zostawiło wielorakie wpływy, a jednym z wyraźniejszych jest rola, jaką się dziś nadaje najszerszej z naszych organizacyj: państwu. Mamy już dziś ustroje, w których wszechwładza państwa uznana jest bez zastrzeżeń, a w jednem z nich sam ustrój państwa oparty jest na związkach zawodowych, w czem niepodobna niedopatrzeć się wpływu t. zw. materjalistycznego pojmowania dziejów, a wykluczenie walki klas nie zmienia wiele zasadniczo. Największe bodaj sukcesy socjalistyczne można niejednokrotnie stwierdzić w społeczeństwach, które z pozoru zachowały całkowicie swój dawny, „burżuazyjny" charakter. Tak się dzieje np. we Francji. Państwo tam nie osiągnęło tej władzy nad obywatelem, jak gdzieindziej, natomiast staje się coraz bardziej powszechnym opiekunem, zawiadowcą majątku obywateli, instytucją, biorącą na siebie troskę o ich byt materjalny.

Statystyka wykazuje, że budżet państwa i samorządów, dopłaty do eksploatacji kolei żelaznych, ubezpieczenia społeczne i inne opłaty, jakie obywatel francuski wnosi do kas ogólnych, doszły obecnie do wysokości dwu trzecich części całego dochodu społecznego, czyli, bardziej poglądowo mówiąc, Francuz z każdych trzech dni pracuje dwa na państwo, a jeden na siebie. Ale też państwo troszczy się o niego w różnoraki sposób, a przedewszystkiem daje utrzymanie coraz liczniejszej warstwie biurokracji wielkiej i drobnej.

W początkach bieżącego stulecia przeprowadzono we Francji ankietę wśród młodzieży, kończącej służbę wojskową, ażeby stwierdzić jakie są przyczyny, zaobserwowanej już wówczas, wzrastającej tendencji do pozostania w mieście i niechęci powrotu na wieś. Większość odpowiedzi wskazała na następujące powody: ciężar pracy na roli, opór dziewcząt-narzeczonych, nie chcących pozostawać, a tembardziej przenosić się z miasta na wieś i wreszcie chęć zdobycia posady rządowej, połączonej z emeryturą. Otóż ta posada z emeryturą stawała się coraz większą atrakcją dla młodzieży wiejskiej i jest jedną z ważniejszych przyczyn wyludnienia się wsi na południu Francji. Prawdopodobnie do wyjątków należy ten deputowany, który utrzymuje rodzaj biura pośrednictwa i gwarantuje każdemu mieszkańcowi swego okręgu wyborczego, kończącemu służbę wojskową, otrzymanie posady; może niewielu wpadło na tak genjalny sposób zapewnienia sobie na wieczne czasy mandatu głosami wdzięcznych rodzin wybrańców, ale tem niemniej faktem jest, że odpływ do miast jest w wielu departamentach większy, niż przyrost, a w tej emigracji dużą część stanowi pęd na stanowiska biurokratyczne, pomnażane przez państwo w przyśpieszonem tempie. „Paryżanie" przyjeżdżają tylko na spędzenia urlopu, a niekiedy po wysłużeniu emerytury na dożycie reszty dni do rodzinnej okolicy. Gospodarstwa pustoszeją, w wielu departametnach liczą opuszczone całkowicie fermy na tysiące, a byłoby ich jeszcze więcej, gdyby nie imigracja obca, przedewszystkiem włoska i hiszpańska, wypełniająca luki, lecz stwarzająca znów niepokojące pod względem narodowym problemy. W książkach, przedstawiających przyszłe szczęśliwe ustroje socjalistyczne, czytaliśmy zwykle, że wszelkie ciężkie lub nieprzyjemne roboty będą w tych ustrojach spełniane przez maszyny. Tu mamy nieco inny obraz: obywatel socjalizującego

się ustroju, korzystając z tego, że pozostało jeszcze wielu współrodaków, którzy pracują produktywnie i mogą go utrzymać, idzie na ich utrzymanie, a na swoje miejsce wynajmuje obcego imigranta z pośród uboższych sąsiadów.

Sztuka taka trwać może oczywiście tylko dotąd, dopóki z jednej strony nie wyczerpią się nagromadzone w społeczeństwie zasoby, z drugiej zaś, dopóki bardziej staroświecko usposobionej części społeczeństwa nie znudzi się pracować w tych warunkach, że na cele „ogólne" oddaje się aż dwie trzecie produktu swej pracy. Tem niemniej jednak tendencja, panująca w ustawodawstwie, sprzyja rozwijaniu się takiego światopoglądu. Podatek spadkowy, wymierzany już od bardzo nawet drobnych spadków w linji prostej, utrudnia tworzenie się skromnych chociażby fortun, wzmacniających samodzielne egzystencje, nieoglądające się na państwo, jako źródło utrzymania, ubezpieczenia społeczne stanowią jeszcze bardziej stanowczy bodaj krok w kierunku socjalizacji.

Mogą one być dobrodziejstwem dla ludzi, którzy w inny sposób nie mogą, czy też nie umieją zapewnić sobie egzystencji na starość, dają jednak w najlepszym razie tę egzystencję tylko dożywotnio, a zmniejszając możliwości gromadzenia oszczędności przez ludzi zapobiegliwych i zaradnych, w których zawsze obfitowało społeczeństwo francuskie, stają znów na przeszkodzie tworzeniu się tych drobnych mająteczków, które nie znikały ze śmiercią właściciela, jak renta starcza, lecz mogły być przekazane dzieciom i stanowiły gwarancję niezależności nietylko materjalnej. Dziś coraz większe masy zwracają się z natury rzeczy ku państwu, jako żywicielowi.

Przemiany te zaszły już tak daleko, że sprowadzają zanikanie niektórych typów i instytucyj. Z literatury pięknej, najwierniejszego zwierciadła społeczeństw, znamy wszyscy typ prowincjonalnego notarjusza francuskiego, koło którego właśnie obracał się proces tworzenia i utrzymania owych drobnych fortun, stanowiących charakterystyczną cechę i podstawę materjalnego dobrobytu Francji. Otóż typ ten i jego rola zanikają, tak, że Balzac nowszych czasów już nie będzie go znał.

Jest w nowej literaturze sowieckiej pewna sztuka teatralna, której tytuł wypadł mi z pamięci, gdzie akcja dramatyczna obraca się koło jakiegoś starego fotela, czy biurka, z ukrytemi w niem skarbami w postaci drogich kamieni. Po wielu perypetjach jakiś cnotliwy towarzysz odnajduje te skarby, spienięża je i za te pieniądze ugruntowuje byt jakiejś instytucji społecznej. Jeden z burżuazyjnych krytyków zauważył, że to wszystko dobrze i sztuka może się skończyć trjumfem owego ideowego towarzysza, lecz tylko dotąd, dopóki istnieją burżuje, którzy mają pieniądze i te drogie kamienie kupią. W społeczeństwie nieburżuazyjnem nie miałyby przecież żadnej wartości i nic pożytecznego nie można byłoby za nie osiągnąć. Ustrój, na jaki się we Francji na dobre zanosi, może również istnieć i prosperować tylko przy obecności w społeczeństwie burżujów, ponieważ jednak utrudnia się im egzystencję, więc podcina się gałęź, na której się siedzi. Ustrój taki, oprócz zniszczeń moralnych, jakie za sobą prowadzi, ma jeszcze tę wadę, że nie może być trwały i musi doprowadzić do ruiny.

Nad temi rzeczami warto się zastanowić, gdyż i my przecież szukamy i powinniśmy omijać to, co gdzieindziej swe złe skutki wykazuje.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

MAJAKI STUDNICKIEGO

(Dokończenie)

JAN: Coprawda, Studnicki także mówi o „barjerze" od Bałtyku po Morze Czarne. Ale ma na myśli tylko i wyłącznie barjerę kontrrosyjską, której poporą i trzonem byłyby Niemcy. Studnicki z licznemi cyframi w ręku wykazuje, że kraje, o których mówimy, nie mają ważnych między sobą łączności gospodarczych, natomiast dla nich wszystkich najważniejsze warunki łączności gospodarczej idą na Niemcy i twierdzi, że taki „środkowo-europejski blok gospodarczy", ciągnący się od Niemiec na wschód, z Polską i Ukrainą od północy, z krajami naddunajskiemi i Bałkanem od południa, z perspektywami na Azję — byłby gospodarczo samostarczalny, przyczem rolą Niemiec byłoby reprezentować najwyższy przemysł, bo produkcję maszyn, kierownictwo techniczne i finansowe.

KAZIMIERZ: A rolą Polski?...

JAN: Rola Polski w jego programie jest receptywna. Ponieważ, jak zresztą on całkiem słusznie zauważa, Polska potrzebuje dopływu kapitałów, bo jest okropnie zacofana, biedna i stosunkowo przeludniona, przeto powinna się jaknajściślej z Niemcami gospodarczo związać, nasilić naturalne z Niemcami stosunki gospodarcze, ażeby od nich uzyskać i kapitały i pomoce techniczne, podnieść się materjalnie, ludzi zatrudnić, handlować ze Wschodem. To dobrze; ale Studnicki nawet jak ma rację, to ma ją sposób manjacki; naprzykład: na specach niemieckich tak mu zależy, że nie może Grażyńskiemu darować wyprażenia z Polski kilku Niemców inżynierów, którzy się okazali zbyt impertynenccy, *laestige Auslaender!...* U Studnickiego przebijają się dwie motywacje. Jedna, niby to ściśle racjonalna, gospodarcza: statystyką sypie jak z rękawa i choć zapewnia, że nie jest materjalistą dziejowym, cały swój system polityczny opiera na zasadzie gospodarczej, a nie na politycznych lub ideowych względach. Ale druga motywacja jest uczuciowa: Studnicki poprostu zakochany jest w Niemcach...

KAZIMIERZ: ...miłością perwersyjną...

JAN: ...i kiedy suchej nitki nie zostawia na Francji i naszych z nią stosunkach, to dziejowe stosunki polsko-niemieckie wybiela jak może i umie; rozczula się nad *Polenlieder*, nad Sejmem Frankfurckim...

KAZIMIERZ: ...tak, jakby tam właśnie nie rozpoczęła się w nowożytnym stylu walka niemiecko-polska...

JAN: ...ba, nawet rządy niemieckie po trzecim rozbiorze, prowadzące podstępnie do wyzucia z zie-

mi naszej szlachty, żerujące na lekkomyślności Polaków, nawet germanizacyjna akcja, już w tych zaczęta czasach, nie odbiera od Studnickiego żadnej nagany, owszem same pochwały; a kiedy wkońcu dochodzi on do tych czasów, w których zaczęto nas ostatecznie dławić i wywłaszczać, to przyznaje wprawdzie, że „stosunki polsko-niemieckie nie były sielanką"...

KAZIMIERZ: ...no proszę...

JAN: ...bo „rząd pruski przejawiał dążności germanizacyjne względem zaboru pruskiego"...

KAZIMIERZ: ...rewelacja, ale jak delikatnie wyrażona!...

JAN: ...ale Studnicki nie obawia się zbytnio owych dążności i nie przypuszcza, ażeby polskość pod zaborem pruskim była tak głęboko zagrożona, jak to sobie wyobrażaliśmy.

KAZIMIERZ: Biedny prof. Sobieski, świetny znawca tych rzeczy, inaczej o tem myślał: Trzymaliśmy się dobrze, to prawda, ale już ostatkiem sił; gdyby zabór był potrwał dłużej, nie wiadomo, coby było dalej!

JAN: *Drang nach Osten* Studnicki uważa za fikcję, bo Niemcy ciągną na zachód.

KAZIMIERZ: A przecież sam mówił o „eksperymencie niemiecko-ukraińskim"!... chyba na wschodzie Ukraina?

JAN: Masz przykład jego logiczności! Tak samo, Studnicki nic, ale to nic nie wie o potwornych planach Ludendorffa — Hindenburga z r.1918[1]), nie wie nic o celowem wyniszczeniu fabryk łódzkich, nie mówiąc o tem już, że nie wie zgoła nic o Kaliszu... To zbyt sentymentalne — jak na jego sentymentalizm!... Jedyna martyrologja, którą zna, to martyrologja od Rosji, a jedynem niebezpieczeństwem, o którem wie, niebezpieczeństwo rosyjskie.

KAZIMIERZ: Które, choć *notabene* nie ustało, to jednak, jak to Dmowski trafnie przewidział, zmniejszyło się naskutek naprężenia w Azji, które będzie trwałe...

JAN: Studnickiemu o tem nie wiadomo; natomiast prąd antyniemiecki w Polsce niema, według niego, podstaw historycznych i jest „patologicznym objawem"! *Ipsissima verba* na stronie 246!

KAZIMIERZ: A co on mówi o naszej miljonowej blisko mniejszości, o tej masie, która została po stronie niemieckiej i którą germanizują dzisiaj skuteczniej, niż dawniej, bo germanizują wciąganiem młodzieży w entuzjazm hitlerowski? Czytajcie Giertycha o Prusach Wschodnich, czytajcie bezkompromisowe reportaże Wiktora o Śląsku: polskie dzieci idą przez ulicę i chórem śpiewają: „*Siegreich wollen wir Polen schlagen!*" To taka zwykła patrjotyczna piosenka... Panie Studnicki, słyszysz? Panie Studnicki, opamiętaj się! Apelujemy do pańskiej uczciwości, którejśmy panu nie odmówili, do serca polskiego, z któremeś wyszedł z łona patrjotycznej matki pańskiej!...

JAN: O tem ani słówka nie znajdziesz. W każdym razie bądź pewny, że Studnicki jest doskonałym patrjotą: uspokaja, że „Polacy w państwie polskiem nie mają powodu obawiać się asymilacji ze strony Niemców".

KAZIMIERZ: Aa, to ci wspaniały, iście „mocarstwowy" program! Pozatem błąd, bo i na naszym Śląsku próbują germanizować, dzieci nam kradną, chociaż władze czuwają, jak mogą...

JAN: Co jest zadziwiające, to to, że ten człowiek, prowadzący swój wywód takim niby trzeźwym, ściśle rzeczowym, arytmetycznym sposobem, nie zdaje sobie zupełnie sprawy ze sprzeczności wewnętrznych swego rozumowania. Np. powiada na str. 262: „Polska ostanie się wobec Rosji tylko wówczas, gdy jej rozwój ekonomiczny będzie szybszy od rosyjskiego. Wobec tego, że kooperacja gospodarcza polsko-niemiecka przyśpieszy nasz rozwój gospodarczy, należy uznać ją za warunek ostania się naszego wobec Rosji". W tem jednem zdaniu zabija sam siebie! Przecież *mutatis mutandis*, i to w o wiele wyższym stopniu, odnosi się to słowo w słowo do Niemiec. Studnicki wie, że wielu z nas „obawia się, że kooperacja polsko-niemiecka uzależni nas od Niemiec". Ale według niego to „obawa płonna". I słuchaj, jak rozumuje: „Stosunek zależności wynika ze stosunku siły" — świetnie to powiedział! A rozwój gospodarczy da nam siłę, *ergo* i t. d. Ale zarazem, ani mu nieprzyjdzie do głowy, że Polska dziś jeszcze o tyle słabsza gospodarczo, technicznie, militarnie od tych Niemiec, których kurateli gospodarczej on nas tak bezapelacyjnie oddaje, będzie musiała popaść w stosunek zależności kompletnej. Przecież każdy tysiąc kilometrów kolei, na których Studnickiemu tak zależy, jeśli będą one pod kontrolą Niemiec budowane; to będą to linje, które w razie czego żadnym sposobem nie nam będą pożyteczne... gdyby się nam kiedyś zachciało dla własnej obrony mobilizacji na zachodzie...

KAZIMIERZ: Przecież pakty nie są wieczne... Jednego dnia Wojna wstanie na nogi, jak nosorożec obwiązany pajęczyną... A każdy dzień pracuje

---

[1]) Już w r. 1917 niemiecki sztab generalny domaga się odkrojenia od Królestwa Polskiego obszaru, który od wschodu zakreślony jest łukiem Ostrołęka — Kalisz — Zagłębie, ale jeszcze w lipcu 1918 r. zaślepieńcy z Kwatery Generalnej, których za trzy miesiące miał już do reszty wyczerpać atak Focha, tak między sobą uradzają: „Nie wystarczy umowa z Polską, zakazująca jej zakładać garnizony i urządzać ćwiczenia wojskowe w pewnem oddaleniu od granicy niemieckiej i przyznająca Niemcom prawo do utrzymywania załóg w miastach polskich, ważnych pod względem strategicznym. Żadne państwo nie zgodzi się na dłuższy okres czasu być skrępowane w swej samodzielności. Dlatego przyszłe bezpieczeństwo Rzeszy należy oprzeć na własnej sile. Teren na przestrzeni 5 km. po obu stronach wszystkich polskich kolei żelaznych oraz ważnych pod względem wojskowym dróg wodnych, powinien być zużytkowany na cele osadnictwa niemieckiego. Dla obrony przed zalewem polskim trzeba utworzyć na wschód od terenów polskich Prus „pas graniczny", obejmujący Zagłębie Dąbrowskie i obszary między Wartą i granicą śląską, ziemie położone na północny zachód od linji Koło-Włocławek, terytorjum na północ od Wisły i Bugu bez Płocka i Modlina, aż do Bielska i Prużan, włączając w to Białystok i Grodno, ogółem półtora miljona mieszkańców. Cały ten obszar, wielkości 8.000 km. kwadratowych, słabo, za wyjątkiem okręgu przemysłowego, zaludniony, może być zużyty dla celów kolonizacyjnych. Przy wywłaszczaniu Polaków z ziemi nie trzeba się rządzić zbytnimi skrupułami. Współczesny stosunek prawny do własności prywatnej ulega zmianie. Ingerencja państwa w dziedzinie wolności osobistej posunęła się w czasie wojny bardzo daleko. Administracja pasa granicznego, aż do chwili ukończenia dzieła osadnictwa, spoczywać będzie w rękach urzędu wojskowego, pozostającego w bezpośredniej zależności od cesarza. W ciągu 45 lat ludność tego obszaru pozbawiona zostanie prawa wyborczego do parlamentu Rzeszy i sejmu pruskiego". Tak mówił ś. p. Hindenburg w r. 1918... A ty, panie Studnicki, historyku, statystyku, publicysto, polityku, patrjoto biegający po Beselerowskich kancelarjach, bezinteresowny zaślepieńcze, artysto wpatrzony w swoją małą idejkę na końcu swojego nosa, nic o tem nie wiesz, nie pamiętasz, nie przewidujesz?! (Cytat powyższy z bardzo pożytecznej książki Wacława Schmidta: „Prusy i Niemcy między Wschodem a Zachodem", tom I, Paryż, Warszawa, 1934. Skład główny w księgarni Hoesicka str. 241 — 242).

dla tego, co się zbroi najenergiczniej i co chce wojny.

JAN: I tak samo byłoby z każdym przemysłem, ze wszystkiem. Naturalnie, byłoby fantastyczne i nierozsądne wykluczać wszelkie bliższe stosunki gospodarcze z Niemcami, których przecież w tem położeniu sąsiedzkiem, przy tym potencjale różnic rozwojowych, uniknąć nie możemy, ale co innego to, a co innego pozostać sam na sam, wyrzekając się wszelkich innych stosunków gospodarczych i sojuszów, i to sam na sam z partnerem, o tyle od nas potężniejszym. Kto widział kiedy równe prawa pomiędzy mocniejszym a słabszym?! Taka zależność gospodarcza obróciłaby się nieuchronnie w zależność polityczną i militarną. Polska udzielając Niemcom monopolu lub prawie-monopolu na inwestowanie swemi kapitałami naszego kraju i na kierownictwo techniczne owych prac inwestycyjnych, a do tego jeszcze wiążąc się jedynym sojuszem politycznym z nimi, nie mogłaby być niczem innem, tylko niemiecką kolonją, nie sojusznicą, tylko poddaną...

KAZIMIERZ: ...a z poddanej niewolnicą! Tak ubezwładnieni przez Niemców, tak sam na sam z nimi, jakimże sposobem moglibyśmy kiedykolwiek kres położyć tym ich domaganiom się, którebyśmy uznali za niesprawiedliwe i krzywdzące? Przecież dzisiaj już, choć prowadzimy, jak nas zapewniają, politykę od Niemiec niezależną i tylko pacyfistyczną, patrz, jak w Gdańsku raz po raz Polaka sponiewierają bezkarnie, jak w Bytomiu utrudniają byt naszemu gimnazjum... Cóż dopiero byłoby wówczas! To byłoby życie potworne, życie w bezsilnem zgrzytaniu zębami, w krwawieniu własnych dłoni, ciągłem poczuciu krzywdy, poniżenia, okropnej niemocy, od której ludzie albo będą podleli, nikczemnieli, albo będą, ci najlepsi, najwrażliwsi, ginęli w rozstroju i rozpaczy.

JAN: A prędzej czy później, z pierwszego wybuchu naszej rozpaczy i ambicji, patronowie nasi asumpt biorąc, przystąpiliby do realizowania swej monstrualnej logiki: Gdzie tylko jeden Niemiec stąpił — tam jest niemiecka ziemia, gdzie niemiecka ziemia — tam niemieckie prawo, a gdzie niemieckie prawo — tam dwie rasy, dwa narody: rasa własna, pańska, teutońska — i rasa podbita: ostatni spodlały motłoch, heloci, parjasi, czandala! Czytajcie Stojanowskiego, czytajcie o tych rojeniach pogańskich!...

KAZIMIERZ: Tak więc, zamiast żebyśmy i my, Polacy, byli „realizatorami wielkiej idei", Studnicki „wielką ideję" zostawia tylko Niemcom, a nam każe iść w ich cieniu...

JAN: ...co jest właśnie takie karłowate i haniebne!... bo mamy obowiązek wielkości. A Studnicki tego nie czuje. Ten niziutki Studnicki rośnie mi w oczach: do rozmiarów symbolu filisterstwa polskiego...

KAZIMIERZ: Takie filisterskie, płaskie majaki jak Studnickiego, Mackiewicza *et tutti quanti* nie byłyby jednak tak przykre, gdyby się było całkiem pewnym, że opinja publiczna jest na nie bezwzględnie odporną.

JAN: Liczę na zdrowy sens mej rasy, ufam, że tak źle nie jest. Sam Studnicki zdaje sobie z tego sprawę, że, jak powiada w przedmowie, „poglądy, wygłoszone w mojej książce, nie są popularne, przynajmniej nie są jeszcze przyjęte przez naszą politykę oficjalną". I, mimo pewnych załamań się w naszej opinji publicznej, napewno ma rację w pierwszej części zdania...

KAZIMIERZ: ...a co do drugiej jego części, to życzmy mu z całego serca, ażeby przynajmniej tym razem przepowiedział coś prawdziwego!

JAN: Bo chcemy wielkiej, prawdziwie, — od wszystkich! — niezależnej, prawdziwie mocarstwowej Polski, którąby zorganizowała przy sobie wielki, samodzielny system bezpieczeństwa, tu, między Rosją a Niemcami...

KAZIMIERZ: ...i tu między Swastyką a Czerwoną Gwiazdą realizowała i szerzyła myśl polską, której najlepsze wszystkie tradycje są głęboko przeżytym humanizmem chrześcijańskim...

JAN: ...zdolnym rozwiązywać zagadnienia współczesności wedle syntezy porządku i wolności...

KAZIMIERZ: ...i nie chcemy błyszczeć fosforycznem, upiornem światłem pozorów w półcieniu, zanimby nas cień martwych pochłonął. Panie Studnicki, pańska książka jest złym uczynkiem!

PODSŁUCHIWACZ (zjawia się): Panowie, to jest agitacja wojenna, zakazana paragrafem...

JAN i KAZIMIERZ (razem): ...to jest wołanie Polaków o polską myśl polityczną! Dłuższe, niż długość dnia, roku, dziesięciu lat.

1935 IDEM

ZWIERZENIA

NASZ KONTAKT z kulturą obcą jest w znacznej mierze regulowany przez żydów. Zakres lektury dostępnej dla szerszych warstw, nie czytających w obcych językach, zależy od tego, co żydowscy wydawcy i tłumacze uznają za nadające się do przekładu. Dlatego jeżeli spojrzymy na sprawozdania z tego działu literatury, łatwo przekonamy się, że jego strona ideowa wygląda mocno jednostronnie. Dzieła współczesnych myślicieli katolickich, jak Berdjajew, Gonzague de Reynold, czy przedewszystkiem Chesterton, którego optymizm, oparty na głębokiem ujmowaniu życia, mógłby się stać dla niejednego pociechą w ciężkich chwilach, jakie przeżywamy, dzieła twórców nacjonalizmu francuskiego, czy przywódców i uczestników wielkiego odrodzenia katolickiego Anglji — wszystko to jest *tabu* i niema żadnych szans na przeniknięcie na rozleglejsze płaszczyzny naszej kultury. Mamy natomiast bogaty wybór dzieł Bertranda Russela, czy H. G. Wellsa z jego słabszego, programowego, okresu i innych myślicieli obozu materjalistyczno-liberalistycznego.

W tym wypadku nawet kwestja zysku schodzi na plan dalszy. *„Mein Kampf"* Hitlera, tłumaczony na wszystkie języki, prócz polskiego, mógłby wydawcy przynieść poważne zyski w swoim czasie. Tu jednak idea wzięła górę nad właściwą rasie żądzą zysku i zarówno *„Mein Kampf"* jak i całą produkcję hitlerowską pozostawiono bezpiecz-

nie w oryginale. Pisarze, którzy przyczynili się do odrodzenia narodowego Niemiec, pisarze często wybitni, nie przenikają do nas zupełnie, pełno natomiast brudnego śmiecia „społeczno"-seksualnego czasów przedhitlerowskich. Przełożono podobnież nieszkodliwą „Kochankę kardynała", ramotę Mussoliniego, licząc na popularność nazwiska autora. Trwająca od pewnego czasu moda na przeważnie seryjną powieść bolszewicką, też nie jest pozbawiona głębszego znaczenia. Za powieściami idą „poważniejsze" publikacje komunistyczne, wychodzące przeważnie nakładem Fruchtmana. Okno na wschód, przynajmniej najbliższy, stoi otworem; okno na zachód, uchylane bywa tylko od czasu do czasu, aby wpuścić niektóre jedynie powiewy, niezbyt przeważnie świeże.

Czasem jednak wpadnie coś mimowoli, coś, co z pozoru nietylko nieszkodliwe, ale nawet zasługujące na najgorętsze poparcie, zaś okazuje się mocno niebezpieczne, jeżeli odpowiednie światło rzucić. Żydzi zaczynają się czuć zbyt pewnie i czasem wymknie im się kilka nieopatrznych słów zadużo. Takim autorem, drukowanym w „Naszym Przeglądzie", a przecież chyba niezbyt się nadającym się do akcji gloryfikującej żydów, jest Lion Feuchtwanger. Jego „*Jud Süss*", który niemało hałasu narobił na zachodzie, u nas przeszedł prawie niepostrzeżenie. W czarnej masie żydowskiego powojennego błota, importowanego z Niemiec, niezawsze łatwo jest wyłowić coś interesującego; wymaga to bowiem grzebania się w tem błocie. A przecież cyniczny opis rządów żydowskich w małem państewku niemieckiem końca XVIII wieku bardzo jest pouczający.

Najbardziej jednak może interesująca dla nas jest powieść, osnuta na tle przewrotu hitlerowskiego p. t. „Rodzeństwo Oppenheim"[1]). Autor pisze z oczywistą sympatją dla swych współziomków, z entuzjazmem nawet, czasem tylko jest może bardziej szczery, niż mógłby sobie tego życzyć „Nasz Przegląd", który powieść tę drukował.

Przedstawiona jest rodzina żydowska, która przywędrowała do Niemiec z Alzacji i osiedliła się początkowo na południu, potem w Berlinie; rozkwit datuje się od Emanuela Oppenheima, dziadka opisywanego pokolenia:

„Abstrakcyjnie rzecz biorąc nie dokonał Emanuel Oppenheim niczego wielkiego" — pisze autor — „ot, prowadził interes z powodzeniem. Lecz w historji berlińskiego żydostwa stanowił pokaźną kartę. Zajmował się on dostawami dla armji niemieckiej w latach 1870 — 1871. W biurze firmy Oppenheim wisi oprawny w ramkę list pochwalny, w którym małomówny feldmarszałek Moltke przyznaje panu Oppenheimowi, iż dobrze zasłużył się niemieckiej armji. W kilka lat później Emanuel Oppenheim założył skład mebli: było to przedsiębiorstwo, obliczone na urządzanie mieszkań w małomieszczańskim guście i dzięki standardyzacji swych wyrobów, obsługujące klijentelę nader tanio... Związany mocno i wielostronnie z rdzenną ludnością, Emanuel Oppenheim niemało się przyczynił do przekształcenia żydowskiej emancypacji z papierowych paragrafów w rzeczywistość, do wytworzenia w Niemczech prawdziwej ojczyzny dla żydów".

Historja rodziny jest więc jasna. Dobrobyt pochodzi z „patrjotycznych" dostaw, które dały kapitał, uruchomiony w fabryce mebli, obliczonej na masową produkcję brzydkiej, ale taniej tandety. Jednocześnie Emanuel Oppenheim wywiera wpływ na decydujące sfery niemieckie w kierunku dania przywilejów żydom.

Fabryka Oppenheimów zabija swą konkurencją niemiecką wytwórnię Welsa:

„W łóżkach z wytwórni Welsa prawdopodobnie było wygodniej spać, stoły z wytwórni Welsa były lepiej odrobione. Lecz klijenci woleli kupować taniej, chociaż towar był mniej solidny".

Zniszczonemu konkurentowi proponują spółkę, ale na takich warunkach, że:

„gdyby projekt się nie udał, Oppenheimowie utraciliby dwie ze swych sześciu filij — mogliby to łatwo przeboleć. Ale Wels byłby utracił dwie ze swych trzech filij i byłby wykończony na amen".

Niemiec, któremu kazano pół godziny czekać w przedpokoju, zanim mu zaproponowano tę „korzystną" tranzakcję, nie zgodził się. Ale tymczasem propaganda hitlerowska w kraju się wzmaga i hasła bojkotowe mogą się źle odbić na interesie:

„Jasna rzecz, co robić dalej. Trzeba pokazać temu Welsowi, że i bez jego pomocy można odjąć firmie *odium* żydostwa. Podobna nauczka zrobi go bardziej uległym. Chwilowa cisza w polityce sprzyja do podjęcia niezbędnych, dobrze przemyślanych kroków".

„Trzeba będzie żydowską firmę Oppenheim przekształcić w towarzystwo akcyjne pod neutralnem, niepodejrzanem nazwiskiem. Inne firmy żydowskie zrobiły dobry interes na takich przemianach. Bywało, że klijenci, którzy zamierzali bojkotować jakąś żydowską firmę, kupowali w innej, napozór niemieckiej, anonimowej, która w istocie rzeczy była tylko ekspozyturą tamtego znienawidzonego przedsiębiorstwa. Skoro Wels nie chce przystąpić do spółki, to mogą Oppenheimowie utworzyć sami towarzystwo akcyjne pod firmą „Niemieckie meble" i początkowo złączyć jedną berlińską filję z jedną prowincjonalną" (str. 30).

Zbyt dobrze znamy podobne tranzakcje, aby trzeba było uzupełniać cytat komentarzem. Nieczęsto jednak tak szczery opis zdarza się znaleźć w żydowskiej książce. Tacy są więc Oppenheimowie w handlu. Jeden z braci jednak pracuje na innym terenie. Jest profesorem medycyny i trzęsie jednym z berlińskich szpitali. Właśnie wakuje posada ordynatora po lekarzu, który dostał katedrę w innem mieście. Z dwu swych asystentów popiera profesor Oppenheim usilnie na to stanowisko chuderlawego żydka Jacoby'ego, swego ulubieńca. Jednakże nawet tak możny wpływ nie pomaga — nastroje antysemickie wzrastają. Nominację dostaje drugi asystent żydowskiego profesora — Niemiec. Autor oburza się na niesprawiedliwość i barbarzyństwo, rządzące się względami rasowemi. Ale po przewrocie hitlerowskim, gdy oczyszcza się szpital, okazuje się, że słynny profesor Oppenheim zdążył już tam wpakować 24 żydów lekarzy. W tym wypadku rządzenie się względami rasowemi nazywa się dbałością o dobro nauki.

Oppenheimowie w swem życiu prywatnem wywierają szeroki wpływ na Niemców, z którymi współżyją. Marcin ma żonę Niemkę, z domu Lizoletę von Ranzow, Gustaw ma liczne kochanki Niemki i duże grono przyjaciół z poza współplemieńców. Jeden z nich, niejaki François, pochodzący z francuskich emigrantów, jest dyrektorem szkoły, do której chodzą dzieci Oppenheimów. Nastrój też panuje w tej szkole odpowiedni i uczniowie robią sobie pośmiewisko z nauczyciela nacjonalisty, Schultesa, urządzając na jego lekcjach hałaśliwe manifestacje z powodu jego przekonań.

[1]) Lion Feuchtwanger: „Rodzeństwo Oppenheim", przekład Melanji Wassermanówny. Warszawa, 1934, wydawnictwo Fruchtmana, str. 463.

W taki oto sposób barbarzystwo nacjonalistyczne zostaje napiętnowane przez kulturalny liberalizm. Sam dyrektor, liberał i esteta, ma w swym gabinecie w jednym kącie popiersie Woltera, w drugim Fryderyka Wielkiego, nadaje też całej szkole ton odpowiedni. Najszczytniejszym celem wychowania jest danie uczniom pięknego języka i stylu niemieckiego. To też gdy nowy nauczyciel tego języka cytuje w jego obecności *„Mein Kampf”* Hitlera, dyrektor wpada w szał oburzenia:

„Oczywiście próbowano namówić mnie do kupna książki pańskiego wodza. — oświadcza — „Niektórzy z moich kolegów nabyli egzemplarze do szkolnych bibljotek — ja nie nabyłem. Nie znam drugiej książki tak obarczonej grzechami przeciwko duchowi języka niemieckiego, jak ta. Nie mogę pozwolić, aby w murach tego zakładu ktokolwiek ją nawet cytował. I pana proszę, kolego, aby pan zechciał nie powoływać się na tę książkę ani wobec mnie, ani wobec pańskich uczniów. Nie ścierpię tego, aby niemiecki język moich chłopców został zeszpecony i skażony”.

Głównie chodzi mu tu o chlubę szkoły, Bertolda Oppenheima. Oczywiście wszyscy żydzi są genjalni, a hitlerowcy tępi, szczególnie jeśli chodzi o czystość niemczyzny i François ze swym przyjacielem Oppenheimem, autorem biografji Lessinga, zaśmiewają się nad książką Hitlera i jej barbarzyńskim językiem. Wiadomo, że żydzi zawsze będą mówili lepiej po niemiecku od samych Niemców i w Warszawie mamy też takich pachciarzy literackich, za dobrze mówiących po polsku. Wyśmiał ich Słonimski w swym „Murzynie warszawskim”.

Zbliża się przewrót hitlerowski. Mühlheim, przyjaciel Gustawa, namawia go, żeby swój majątek umieścił zagranicą. Wywiązuje się taka patrjotyczna rozmowa:

„Dla kogóż to zamierza Gustaw zostawić pieniądze w Niemczech? Dla militarystów, aby je zużyli na tajne zbrojenia? Dla wielkich przemysłowców, aby je obrócili na ponad wszelki wyraz wątpliwe dostawy do Rosji, skąd jeszcze nigdy nie powróciły pieniądze? Dla narodowców, żeby mieli na żołd dla bataljonów szturmowych, na propagandę dla *Führer*'a? Dla wielkich obszarników, żeby znów pakowali miljardy w bezsensowną gospodarkę?”

„Gustaw wstał, przeszedł się szybko po pokoju mocnym, krótkim krokiem, opierając się całą stopą o podłogę. Pewnie, Mühlheim ma słuszność. Pieniądze, wpłacane państwu, są obracane na zupełnie inne sprawy, niż potrzeby zbiorowości. Nie zostaną przeznaczone na ochronę jego, Gustawa, lecz raczej na napaść na niego”.

Oppenheim jednak waha się jeszcze, nie wierzy, żeby Hitler mógł zwyciężyć. Żydzi niebardzo boją się *Führer*'a:

„Co się stało? Dali reprezentacyjny urząd popularnemu durniowi i polecili poważniejszym kolegom paraliżować jego zapędy. Czyżbyście doprawdy uwierzyli, że Niemcy się kończą dlatego, że kilka tysięcy uzbrojonych szczeniaków wałęsa się po ulicy?... Wierzycie, że naród 60-miljonowy przestał być narodem kulturalnym dlatego, że kilku głupców i kilku łajdaków otrzymało wolność słowa?”

Zdaniem owego liberała, hitlerowcy nie powinni mieć wolności słowa, liberał François nie dopuszcza dzieła *Führer*'a do swej szkoły, „żeby uczniowie nie zepsuli sobie stylu”.

Wreszcie jednak Gustaw razem z pieniędzmi ucieka zagranicę, a Marcin musi ponownie wszcząć pertraktacje z Welsem, obecnie hitlerowcem, aby ukryć żydowskość firmy. Teraz on z kolei znosi upokorzenie czekania i proszenia. Hitlerowiec trjumfuje, ale gdy nadchodzi moment zawierania umowy:

„Marcin poczuł z głębokiem wewnętrznem zadowoleniem, że teraz jest dobrze dysponowany. Wynajdywał nowe, coraz szczęśliwsze rozwiązania poszczególnych zagadnień, o wiele zręczniejsze, niż mądre wskazówki, podsunięte mu przez profesora Mülheima. Henryk Wels wyczerpał się na pańskie wymagania natury reprezentacyjnej i nie miał już sił, aby się zorjentować w haczykach i zasadzkach zawiłych propozycyj Marcina. Z głupią lekkomyślnością przystawał na koncesje”.

„Po omówieniu szczegółów natury finansowej i administracyjnej Wels znów powrócił do poprzedniej postawy. Przez tyle lat dał mu się ten Marcin Oppenheim nałykać wszelkiej goryczy — niech teraz za to poczuje, że Henryk Wels jest górą, że go trzyma w garści.

„Kto kupuje u Oppenheimów, ten kupuje dobrze i tanio” [*motto* firmy — przyp. mój] — szydził — „tanio”, to prawda. Ale „Niemieckie meble” będą baczyły, żeby i „dobrze”. Wasza tandeta — dorzucił naraz ostro i grubjańsko — musi raz na zawsze zniknąć z fabryki. Nowe Niemcy nie ścierpią tego *„tynef”*, żeby się trzymać waszego żargonu. Będziemy sprzedawać drożej, ale zato towar solidniejszy”.

— Głupiec, idjota, dureń, bronzowy mundur! — klął w myśli Marcin Oppenheim.

A na głos powiedział:

— Oczywiście, panie Wels”.

Na tle całej wysoce pouczającej książki Feuchtwangera scena ta jest może najbardziej znacząca i rzuca światło na obecną sytuację Niemiec. Żydzi są zdławieni i ograniczeni w ekspansji — zewnętrznie. Ale „przy zawieraniu umowy okazali się chytrzejsi”. Nie udało się Hitlerowi usunąć całkiem kwestji żydowskiej z kraju, w tej walce bowiem nie wystarczy siła, konieczna jest także i znajomość metod przeciwnika. Z tego punktu widzenia wszystkie książki Liona Feuchtwangera są ze wszech miar godne uwagi. Przedstawiają stosunki tak szczerze i tak przejrzyście, że nie wymagają komentarzy. Każdy, kto jeszcze wierzy humanitarnym i liberalnym frazesom tej rasy i chce do niej przykładać tę samą miarę etyczną, co do innych, powinien dowiedzieć się prawdy wprost ze źródła. A to na szczęście zostało nam udostępnione.

ANDRZEJ MIKUŁOWSKI

NORWIDJANA I

GARŚĆ LISTÓW C. NORWIDA

Podał STANISŁAW PIGOŃ

NIE rychło zapewne otrzymamy pełne wydanie Listów C. Norwida. Ostatni wydawca jego „Dzieł”, T. Pini, napomyka coś wprawdzie we Wstępie o zamierzonem takiem wydaniu, ale czyni to z takiemi zastrzeżeniami („możliwe, że zczasem...”), że wolno zachować sceptycyzm co do wczesnej realizacji zamysłu. Realizacja taka zresztą jest narazie jeszcze tak dobrze jak niemożliwa. Autografy listów są rozproszone po wszystkich prawie większych bibljotekach i archiwach polskich (i nietylko polskich); żebyż to tylko! — możnaby w takim razie do nich dotrzeć i zgromadzić. Spora ich liczba tkwi ponadto w zbiorach prywatnych, nierzadko wcale zazdrośnie strzeżo-

nych, niezawsze znanych. Nie, niema się co łudzić. Jako tako kompletny zbiór korespondencji poety jest dzisiaj jeszcze niemożliwy.

Potrzeba zaś tej korespondencji odczuwać się daje coraz silniej. Właśnie teraz, kiedy studja nad Norwidem coraz wyraźniej zmierzają do tego, by osadzić poetę na ziemi, wśród ludzi i wśród czasów, by jego dzieło twórcze, pełnię jego wysiłku artystycznego, wpleść w ciąg realnie ujętego życia kulturalnego epoki, właśnie dzisiaj potrzeba ta jest coraz żywsza. Chcemy objąć poetę we wszystkich jego sprawach: we wszystkich skłonach myśli, a także w tej odrębności, która się tak dobrze ujawnia w zestawieniu i przeciwstawieniu z otoczeniem, w przyjaźniach i niechęciach, w powszednich stosunkach z ludźmi, słowem w całym tym splocie powiązań z życiem, jaki się najbezpośredniej i najrzetelniej wyraża w obcowaniu listownem. Ale cóż, potrzebie tej — jak się rzekło — nie można jeszcze uczynić zadość w jedynie dobry sposób, przez ogłoszenie całej korespondencji.

Jeśli atoli niemożliwy jest sposób dobry, muszą być dopuszczalne sposoby złe: wydania cząstkowe, ogłaszanie luźnych kompleksów, czy nawet poszczególnych listów. Można rozgrzeszyć z tego zła, bo — jak dotąd — jest to *malum necessarium*, i jak bardzo *necessarium*! Kiedy Wielki Myśliwy zalega pole, mnożyć się muszą kłusownicy.

Jakoż rzeczywiście jest takich dorywczych publikacyj listów Norwida wcale sporo; poczet ich zrejestrował bibljograf, nietrudno je znaleźć przy pomocy zestawienia, jakie dał p. Wł. Arcimowicz w „Ruchu Liter." 1933 r. Dobrze jeszcze, jeśli ci dorywczy wydawcy podają listy w kompletach mniejszych, ale wyraźnie objętych granicą i w ramach tej granicy zupełnych. Jest kilka takich kompletów, ograniczonych czy to osobą adresata, czy sprawą traktowaną. Wydano już listy do Trembickiej (Kossowski), do Bentkowskiego (Erzepki), do Zaleskiego (Krechowiecki), do Cieszkowskiego (Ujejski), do Ruprechta (Makowiecki). Gorszy jest los listów rozerwanych, wyjętych nawet z takiego mniejszego zespołu i rozrzuconych po czasopismach, nawet po efemerydach. W taki sposób rozsiano np. listy do Lenartowicza, do Mierosławskiego, do K. Górskiej i in. Czasami czyniono to ze szczególniejszą jakby pasją rozrywania całostek i rozrzucania ich na strony. W r. 1912 jeden z takich przygodnych wydawców wydobył z jednej bibljoteki garść listów do Kraszewskiego: rozrzucił je zaraz po trzech czasopismach („Tyg. Ilustr.", „Świat", „Echo Liter.-Artyst."); dodajmy, że pewną część zostawił w bibljotece owej nieruszoną, a po listy do Kraszewskiego, zachowane po innych bibljotekach, ani sięgnął. Trud scalania takiej rozrzutnej gospodarki, a nawet orjentowania się w opublikowanym już zasobie, będzie nie najmniejszy. Trudno nie widzieć stron ujemnych takiej nieplanowej roboty. Niemniej — powtórzmy — w obecnym stanie rzeczy taka jest tylko możliwa, a zatem i usprawiedliwiona.

Poniższy zbiór listów jest taką samą dorywczą składanką; gorzej bo składanką nie związaną nawet tożsamością adresata. Nie jest ona wszelako bez więzi. Listy ogłaszane tutaj mają jeden rys wspólny: dotyczą bezpośrednio działalności literackiej i artystycznej Norwida, przynoszą pewne dane o losach wydawniczych (przeważnie żałosnych) jego utworów. Są to w tym sensie l i s t y l i t e r a c k i e.

Gromadzone przygodnie z różnych bibljotek, teksty te wypadnie zaopatrzyć tu we wskazówki tyczące prowenjencji oraz w konieczne, jaknajzwięźlejsze, komentarze rzeczowe. Tłumaczą się one zresztą jasno same przez się.

1. DO KAROLA LIBELTA

Paryż, 28 lipca 1849 r.

Faubourg S-t Honoré, Hôtèl Sinet

Szanowny Panie Dobrodzieju!

B e z s t r o n n o ś c i S-go Pana, niemniej sądowi Jego polecać śmiem załączony tu artykuł. Pisma poznańskie (czemu bynajmniej się nie dziwię), moich *propria comunia* nieświadome, dotykają mię zawsze, ile razy o sztuce sobie co przypomnę. Miło mi jest widzieć i ten promień narodowej myśli poruszony, — ale słaby, zmęczony i zakłopotany będąc, nie mogę się inaczej, jeno piórem i radą, sztuce na dziś zasłużyć, a publiczności wytłomaczyć.

Sądzę, iż w bezstronności, to jest w wszechstronności Swej, raczysz, Szanowny Panie, dla tego artykułu miejsce znaleźć takie, jak dla artykułu pod tytułem *Artyści*, którego niniejszy sprostowaniem, dopełnieniem, od-słowiem.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku — najniższy sługa

C. K. Norwid

Z przyczyny braku czasu artykuł pisany jest odrazu; może ogładzić co potrzeba.

C. K. N.

U w a g a w y d a w c y: List ten (Bibl. Jagiel., rkp., nr. 6004 II) skierowany do Libelta jako do redaktora poznańskiego *Dziennika Polskiego*, towarzyszył artykułowi, jaki Norwid nadesłał do tego pisma i jaki p. t. *Krytycy i artyści* umieszczony został w odcinku *Dziennika* z dn. 11 sierpnia 1839 r. Artykuł Norwida był wywołany anonimowym fejletonem *Artyści*, umieszczonym tamże w nr. z dn. 25 lipca, był zatem polemiczny

2. DO TEOFILA LENARTOWICZA

Paryż, 1 sierpnia 1852 r.

Mój drogi!

Możesz iść do Pana Adama, kiedy czas znajdziesz; z dołu nazwisko swoje, dobrze napisane, poszlij Mu na górę, tam przyszedłszy. Wie on o Tobie i pochlebnie mi się w tem wyraził.

Dlatego Ci to piszę, że na rue Babylone być nie mogę, a interes, jakom był obiecał, chciałem, aby nie cierpiał przeto zwłoki.

Gdybyś był w tych dniach u Pana Adama, to z nazwiskiem swojem prześlij Mu, przyszedłszy tam, ten list, który żadną rekomendacją nie jest (bo tej nie potrzebujesz już), ale który jest w interesie. Gdybyś zaś odwlekał, to proszę Cię opłać timbre 3 sous, przyłóż pieczątkę i wrzuć do pudła pocztowego.

Do widzenia Cyprjan

Może wprzód jeszcze zobaczymy się?

P. Adamowi dawaj wyobrażenie o tem, czego wiedzieć literalnie nie może, a co potrzebne jest. Świadcz o rzeczach, które się robiły od 30 roku, co poczynaliśmy, jakie były usługowania nasze w społeczeństwie litery i co do ludu etc. Jak się duchy usługujące porządkowały w następstwach sprawy pojęć i osób etc. O tem wszystkiem nigdy dość mówić nie można, bo to drabina zaświata do realności, — czynu klamra.

[Adres]: Mr. Lenartowicz à Grenelle, Tiphaine 27.
[Stempel pocztowy]: Paris, 1 Août 52.
Uwaga wydawcy: Liścik ten (Bibl. Ord. Krasińskich rkp. nr. 5148) towarzyszył jakiemuś, dotąd nieznanemu listowi rekomendacyjnemu Norwida do A. Mickiewicza. Opiekował się on, widać, gorliwie Lenartowiczem. Tegoż czasu przy podobnej sposobności zalecił go Zaleskiemu osobnym poemacikiem („Złotostruny! Albo ja wiem...”). W liście powyższym uderza, jak Norwid doskonale się orjentuje w tem, czego Mickiewicz potrzebował z Polski i o co faktycznie pytał przedewszystkiem stamtąd przyjeżdzających. (Lenartowicz wyjechał z Polski 1850 r.).

3. DO K. WŁ. WÓYCICKIEGO

[Paryż, 17 lipca 1859 r.]

Szanowny Mężu i kochany Panie Kazimierzu.

Tak stało się, iż w pisanie mało się wdawam; może to wszystko, co rozrzuconego jest przez lat przeszło 10 we wszystkich polskich dziennikach z pióra mego wyszłe, acz poetyckiej formy,—pamiętniki i notatki tylko? Niemniej i co drukowanego osobno jest, mało zwać się może i będzie czem innem, — tak stało się. Różne-bo pióra i kałamarze rozdane są. Bywałem i tak, że atramentem pisać trudno i niepodobna było, jako np. kiedy bałwany morskie lub bałwany inne szkodzą temu szaleństwem swem.

Wszelako tacy są, którzy albo parę tomów zebrać porozrzucanych pism mych kuszą się, albo i w kopjach licznych niewydane zbierają rękopisma; — co się tam mówi o tem ani wiem, czasem doleci mię parowiersz ten i ów gorzki, lekkomyślny, szarpiący,—za lat kilkanaście niezabudka! Ale jedno, co wyraźnie dochodziło mię, to iż ciemne rzeczy i do pojęcia trudne piszę.

Z tego względu poważnej usługi Twej proszę, abyś raczył przy sposobności oświecić, iż bywało napisałem osobie, w smutnej chwili osoby onej, parę wierszy dla pocieszenia i że takowe po latach osiemnastu dochodzą mię z Chin, iż wspominane są w kraju pagód i gdzie krzyż Zbawicielowy świta dopiero, — a wspominane jako nadziei promyczek. Jakoż — muszę ja wiedzieć, co ja dla tego roku albo owego ciemno albo jasno piszę, bo to tam jest moja rzecz.

Padam do nóg.

1859 C. Norwid

P. S. Iż nikogo nie zapomniałem, komu ścisnąłem rękę, albo kto moją ścisnąć raczył, albo słowo szczere, albo wody szklankę podał mi, — tedy nie przez interes tylko udawam się do Ciebie i załączam dla pamiętnych znajomych pozdrowienie.

C. N.

Uwaga wydawcy. Autograf w zbiorach Muzeum Narodowego w Krakowie. Zdaje się, że do niego przynależy zachowana również koperta, która pozwala określić bliżej datę listu. Widnieją na niej stemple pocztowe (jednakowoż bez wyraźnego roku): 1. Paris, 17 Juil, 2. Warszawa, 20.VII. Na kopercie ponadto dwuwiersz ręką poety:

Pamiętał wszystkie dawne znajomości,
Prócz siebie, kobiet kilku i młodości.

K. Wł. Wójcicki należał do redakcji założonego właśnie w r. 1859 *Tygodnika Ilustr.*, stąd miał sposobność uczynić przysługę „ciemnemu poecie”, o jakiej wspomina w liście. Nie uczynił wszelako. Wzmianka o Chinach odnosi się zapewne do Michała Kleczkowskiego, bliskiego krewnego Norwida (po matce); przez długi czas pełnił on służbę w poselstwie francuskiem w Chinach. Zob. o nim niżej w liście nr. 11.

* * *

Przeszła nad nami klęska, biły w nas ciężkie burze,
We mnie i w dom. — Znów w piersi już śmiertelnie zdyszane
Wraca oddech spokojny... Góry wiosną oblane...
W trawie kwitną krokusy... Lela przycina róże...

Płyną białe obłoki po wysokim lazurze —
Słyszałem, jak noc grzmiała lecącą z gór lawiną —
Rychło pozielenieją wierchy — przez omżę siną,
Gołem okiem znów owce wypatrzę stąd w Magórze.

Sąsiad otworzył okno: zahuczały z Poznania
Dzwony na rezurekcję, bijąc w pogodę szklaną
Cudowną Chrystusową nauką zmartwychwstania.

Bo tylko tym zwycięstwo ostateczne pisano
I tam — i tu na ziemi, co póki tchu i trwania
Potrafią w sobie zawsze zmartwychwstawać co rano. —

Koziniec — Wielkanoc 35 MICHAŁ PAWLIKOWSKI

NA WIDOWNI

Stulecie „Nieboskiej Komedji". — Ruch młodych przed stu laty. — Opinja Mickiewicza o „Nieboskiej". — Polska „natchnięta życiem obcem". — Naśladowanie myśli cudzoziemskiej. — Okopy Świętej Trójcy.

W ROKU bieżącym przypada stuletni jubileusz pierwszej edycji „Nieboskiej Komedji" Krasińskiego. Już poczęły ukazywać się z tej okazji studja literackie i szkice, zaś zainteresowanie, jakie fakt rocznicy wywołuje, nie ogranicza się do szczupłego grona historyków piśmiennictwa: dramat Hrabiego Henryka i Pankracego znany jest każdemu inteligentnemu Polakowi, a po stu latach zastanawia, wzrusza, zadziwia — nie mniej potężny, aniżeli naówczas, kiedy został po raz pierwszy wydrukowany.

I w związku z tem, jako niemal odruchowa refleksja, narzuca się — godne uwagi — przypomnienie: wszak arcydzieło, które tak zwycięsko ostało się próbie czasu w przeciągu lat setki, napisał autor... zaledwie dwudziestodwuletni! Nie jest zaś to jedynie osobliwością wyjątkowo wczesnego rozwoju poety, lecz niemniej również rysem charakterystycznym epoki, w której żył i tworzył. Dwudziestoletni Szopen, opuszczając Warszawę, miał już za sobą oba koncerty: *e-moll* i *f-moll* (nie licząc tylu innych kompozycyj), dwudziestosześcioletni Mochnacki napisał już swoją słynną książkę „O literaturze polskiej w wieku XIX" i był przywódcą Towarzystwa Patrjotycznego w dobie rewolucji listopadowej.

Były to czasy prawdziwego ruchu młodych, owa epoka, jakże odmienna pod tym względem od stosunków dzisiejszych, gdy — wbrew głoszonym ustawicznie frazesom — tak wyjątkowo nikły i nieznaczący jest do tej chwili udział młodego pokolenia, oraz jego wpływ rzeczywisty, niezależny na kształtowanie się życia narodowego we wszystkich dziedzinach...

— — — — — — — — — — — —

Istotną treść „Nieboskiej Komedji" najgłębiej wytłumaczył Mickiewicz, a w teraźniejszem położeniu Polski sens treści owej uwydatnia się w sposób tak przeraźliwie wyrazisty, iż, myśląc o tem, niepodobna wprost powstrzymać się od uwagi, że nazwa „wieszcz", jeżeli chodzi o naszych wielkich poetów romantycznych, miewa niekiedy najzupełniej dosłowne znaczenie. Oto opinja Mickiewicza o dziele Krasińskiego, jaką dał w „Literaturze słowiańskiej" (rok trzeci, lekcja VIII):

„Polska w „Komedji Nieboskiej"—trzeba to wiedzieć, aby rozumieć dzieło — nie jest Polską, jaką znamy, nie jest naszą Polską historyczną i geograficzną; możemy ją sobie wyobrazić tylko, przypuściwszy naprzykład, gdyby nagle, zbiegiem jakich wypadków, skutkiem jakiego kongresu stanęła cała i niepodległa, ale bez własnej siły żywotnej, natchnięta jedynie życiem obcem, europejskiem, ruszająca się mocą uczuć i wyobrażeń, wytworzonych w Europie. Łatwo pojąć, że w takiej Polsce ludzie najdzielniejsi, najwięcej wytężonego ducha, nie mogąc w żaden sposób swojej przeszłości związać z przyszłością, ujrzeliby się zupełnie zbici z toru"...

W rzeczywistości też, kiedy wczytujemy się w „Nieboską", ta właśnie, ukazana przez Mickiewicza cecha dramatu, jest najbardziej zastanawiającem jego znamieniem. Okopy Świętej Trójcy—to miejscowość istniejąca, każdy może ją odnaleźć na szczegółowszej mapie Podola, ale ideje, o które walczą bohaterowie Krasińskiego, nie wyrosły z historycznego podłoża polskiego, ich djalektyka rozgrywa się poza sferą prawdziwego życia narodu. I zarzuty, i odpowiedzi, jakie krzyżują się w tych djalogach, nie są obrazem stosunków w Polsce, stanowią echo gdzieindziej wytworzonych doktryn i haseł. Gdy Hrabia Henryk wypowiada dytyramb o zasługach dziejowych arystokracji, wielbi właściwie — nieznany nigdy u nas — zachodnio-europejski porządek feodalizmu. Gdy zaś Pankracy zarzuca mu w odpowiedzi, że świetność rodu stwarza prababka — „królów nałożnica", to ten argument, trafny, przypuśćmy, we Francji, w naszych warunkach okazuje się ciosem, zadanym w próżnię: nie przez alkowę, raczej przez kreski gromady braci szlachty na sejmikach, zdobywał magnat wpływy i stanowisko na polskim dworze.

Gdy Krasiński pisał „Nieboską", wśród emigracji po powstaniu listopadowem, oderwanej od realnych warunków bytu narodu, a jednocześnie czynny biorącej udział w ruchach europejskich, rozpoczynało się to właśnie życie zasobem obcych uczuć i wyobrażeń, tak przenikliwie zauważone przez Mickiewicza. Dylemat arystokratyzmu czy demokratyzmu formułował się pod wpływem tego stanu rzeczy. Młodość, skłonna z natury do doktrynerstwa, zwiększała jeszcze podatność środowisk emigracyjnych do ulegania bujnemu życiu duchowemu obcego otoczenia.

Mijały lata, pokolenia jedno po drugiem wychowywały się w niewoli, nie rządzące się samodzielnie, pozbawione doświadczeń z własnego życia państwowego. Jak można dziwić się, że o zagadnieniach polityki uczyły się w sposób teoretyczny, przyswajając sobie cudzoziemskie formułki, że ulegały najrozmaitszym „izmom", zwłaszcza, gdy panująca w ostatniem półwieczu szkoła historyczna nakazywała zerwać z tradycją dawnej Rzplitej, szukała w niej przedewszystkiem wad, które należy wykorzenić? Bolesna przepowiednia Mickiewiczowska urzeczywistniła się co do joty. Czyż, po odzyskaniu niepodległości państwowej, nie ujrzeliśmy się „zupełnie zbici toru", czyż „nie mogąc w żaden sposób swojej przeszłości związać z przyszłością", nie szukaliśmy poomacku różnych obcych wzorów, od Lenina do Mussoliniego, od Wilsona do Maurras'a?

— — — — — — — — — — — —

Tak się złożyło, iż pułk, w którego kadrze służyłem w roku 1919, objął odcinek frontu bojowego, przechodzący przez Okopy Świętej Trójcy (dziś pow. borszczowski, woj. tarnopolskie), i w bataljonie w Tomaszowie Mazowieckim trzeba było pośpiesznie ćwiczyć rekruta, by uzupełniać dopływem świeżych sił oddziały linjowe. W stolicy, przy organizowaniu nowego Państwa, właśnie rozpoczynała się już „nieboska komedja" walk różnych haseł (przy niemniejszym, aniżli w wizji Krasińskiego, udziale „chóru przechrztów"), broniono lub atakowano „Okopy Świętej Trójcy", bądź paktowano o nie, według „rozsądnych" wskazówek Ojca Chrzestnego. Lecz w tymże czasie, do załogi prawdziwych Okopów, szły już oddziały zbrojnych w karabiny „poborowców", chłopaków wiejskich, dla których nazwa tej miejscowości nie nasuwała

żadnych literackich reminiscencyj,—a szły na śmierć w obronie wartości rzeczywistych, tych samych właśnie, na których straży te Okopy, przed trzystu laty, u granic Rzeczypospolitej zostały usypane...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

„OSTATNIE ROZMOWY POLITYCZNE"—donosi „Dobry Wieczór" (z 14.V.35)—„Marszałek Piłsudski przeprowadził z ministrem Beckiem w czasie, gdy bawił w Warszawie minister francuski Laval. W ciągu tego dnia minister Beck był u p. Marszałka Piłsudskiego trzykrotnie". Wiadomość ta wskazuje, jak dalece prowadzenie polityki zagranicznej zależało do ostatniej chwili od kierowniczej w rządzie postaci, i jak nominalne raczej funkcje spełniał w takich warunkach minister spraw zagranicznych.

Zapytać można o losy tej polityki teraz, gdy kierowniczej dotąd w życiu państwa postaci zabrakło, i gdy minister spraw zagranicznych nie będzie już więcej jeździł do Belwederu po instrukcje i rozkazy. Co teraz? Śmiesznie byłoby mówić, że nic się nie zmieniło. Nie można porównywać ministra Becka z postacią zmarłego Marszałka Piłsudskiego. Nasuwa się więc najpierw pytanie (na które w tej chwili nie można odpowiedzieć w sposób stanowczy), do kogo będzie teraz należał w sprawach polityki zagranicznej głos rozstrzygający? Kto okaże się najpoważniejszym w polityce oficjalnej mężem? Niewiadomo. Powyższe dotyczy decyzyj. Nie można jednak lekceważyć i drugiej kwestji — kwestji wykonania. Sojusz polsko-francuski szwankował w ostatnich latach nie wskutek ujemnego działania wpływów zewnętrznych, lecz wskutek niedość szczęśliwego wykonania zadań przez dyplomację stron obu. Te wpływy, które oddziaływały niekorzystnie na przymierze polsko-francuskie, źródło główne miały nie w intrydze obcej, i nie w sile zewnętrznej, która o tyle zmieniłaby sytuację międzynarodową, że przymierze pozbawiłaby sensu i wartości, lecz w psychice polityków stron obu, Polski i Francji. Był ostatnio w stosunkach polsko-francuskich dłuższy okres, kiedy wykonywanie najprostszego obowiązku sojuszniczego — mianowicie konsultacji w sprawach polityki zagranicznej — było między zaprzyjaźnionemi stronami utrudnione. Nic dziwnego, że w tych warunkach sojusz prosperować nie mógł. Wizyta ministra Lavala wyjaśniła obecnie, — co zresztą można było domniemywać—że żadne nowe zobowiązania międzynarodowe Polski i Francji, a w szczególności nowy pakt francusko-sowiecki, będący właściwie przymierzem — nie nadwyrężają w niczem naszego przymierza z Francją, i nie wytwarzają sytuacji, komplikującej obowiązki sprzymierzeńcze polsko-francuskie. Rozpraszając te wątpliwości, wizyta min. Lavala okazała raz jeszcze, że poprawa stosunków polsko-francuskich zależy wyłącznie od rozumnej woli i talentu polityków obu stron, i że niema takich zewnętrznych konieczności, przed któremi musieliby się ugiąć i zrezygnować z nadania sojuszowi pełnego waloru. Konferencje warszawskie przyniosły, mówiąc językiem prasy codziennej — „odprężenie atmosfery"; jest to wynik dodatni. Wiele oczywiście pozostaje jeszcze w tej dziedzinie do zrobienia.

NAUKA i LITERATURA

JÓKAI W POLSCE

UKAZAŁA się niedawno broszurka dr. Jerzego Pogonowskiego p. t. „Maurycy Jókai w Polsce" („Bibljoteka Polska", Warszawa, 1935) — wprawdzie zawiera tylko 48 stronic i nie jest drukowana na atłasie, ale mimo to szkoda było na nią „czasu i atłasu" i szkoda ją czytać, studjum to jest bowiem bez żadnej wartości, nic nas właściwie o Jokaiu nie informuje, a jego poczytności u nas robi zupełnie „niedźwiedzią przysługę", bo jestem pewny, że każdy, kto przebrnie przez kilkanaście streszczeń jego dzieł, jakie zawiera ta książka, nie zechce później za nic ich wziąć do ręki i nabierze niezłomnego przekonania, że to są zwykłe „bujdy" i ramoty, pozbawione całkiem sensu i wartości. Nie chcę być gołosłownym i przytoczę tu jedno z krótszych, choć jeszcze nie najzabawniejszych streszczeń. Oto powieść „Smutne dni" w ujęciu pana Pogonowskiego (strony 31 i 32 jego dziełka):

„Wstępny rozdział o ptaku śmierci daje opis starej, szalonej Magdaleny, drugi — rodziny kata Piotra Zudara. Żyją w Hesfalszu. Kat, żonaty z córką Magdaleny, kaja się za winy swego życia. Kompletu domowników dopełniają: córka katostwa i potworna Mekiciros. Złowróżbny ptak śmierci wiele zwiastuje nieszczęść: widzimy zbrodnię dziecięcia, wnuk bowiem Benjamina Hétfalusy'ego, Edward syn Eleonory, zabił siostrzyczkę swą Emmę, prześladowany odtąd ostatniemi jej słowy: „nie zakopuj mnie Edwardzie, Emma nie płacze". Karą Bożą jest śmierć małego Edwarda. Barwny pędzel Jókaia wywołuje niesamowite obrazy: przewodnicy ludowej oświaty, Jan, znęcający się nad Mekiciros, która sobie odgryzła język, żelazny człowiek, jen. Bertezy, żonaty z Korneljją, Marja Kamieńska o hrabiowskim tytule (autor w tem miejscu dodaje od siebie zgorszone „*sic!*", bez żadnej zupełnie potrzeby), leczenie magnetyzmem — z trjumfem nad medycyną — oto nagromadzenie efektów, po których idą tłumnie nowe: zaraza, płomienie, trucizna, wyrok śmierci. Młody Emeryk Hétfalusy walczy z chłopstwem, powstałem przeciwko szlachcie. Dalej, jak w kalejdoskopie: Mekiciros walczy z Janem na dachu — oboje giną skutkiem upadku; stary Hétfalusy umiera, jenerałowej rodzi się mały aniołek, kat zabija swą podłą żonę. Emeryk żeni się z Marją, Piotr Zudar zaś wyjeżdża z nimi. Ptak śmierci, stara Magdalena wyszydza grób starego Hétfalusego. „Nikt po niej nie płacze. Bo któż myśli o ptaszku leśnym lub o dzikim zwierzu, kryjącym się w jaskini!"

Pół biedy jeszcze, jeśli autor podobnie pastwi się nad słabszemi utworami Jókaia, znacznie gorzej, gdy taki sam „kalejdoskop" zestawia z jego arcydzieł, jak np. „Poruszymy z posad ziemię", o którem znajdujemy taki np. *passus* (s. 43): „Babka kazała mu „być panem". Toteż wnet był „wysoko na koniu". Ale — popierany przez palatyna — naraził mu się gorącem poparciem teatru narodowego węgierskiego. Więc... po jesiennej rosie zima. — Jakże piękne niezabudki hrabianki... Dramat Kolomana „*theatro admittitur*" — bo cenzor był osłem i nie połapał się na tendencji patrjotycznej sztuki".

Czasem nie można poprostu zrozumieć, o co p. Pogonowskiemu chodzi, jak w tem choćby zdaniu (str. 35): „Oto wielki człowiek w odświętnej odzieży, Ferdynand Harter, który 1849 r. w Debreczynie w sejmie, bił się pod Kepolną, a w 1850 r. był w więzieniu peszteńskiem, występuje w r. 1861 w obronie życia komitatowego a po jego podniosłem przemówieniu, ogół mężów rezygnuje z posad". — To znów ma się wrażenie, że nie umie dobrze po polsku (str. 16): „Zdarzało się, że czytelnicy-literaci, piszący o nim, potrzebowali przekartkować jego powieści), że nie zna gramatyki (str. 40): „W słówku wstępnem spotykamy krótką wzmiankę

o 6 ideałach z przed ćwierć stulecia — i siódmej: — żonie)" i tak co chwila. Ale nie tylko pisać autor nie umie, także nie ma on nic do powiedzenia i powinien wyrzec się pisania studjów literackich. Oto np. jaka woda i jakie banalne nonsensy składają się na jego ocenę twórczości Jókaia:

„Szerokie, zdecydowane gesty węgierskie, w których kreśleniu Jókai jest mistrzem, występują w dzielnych skrótach o silnym efekcie artystycznym — na tle doskonale narysowanych postaci ze wszystkich sfer" (str. 39) — „Można to życie, — takiem, jakiem jest, bez upiększeń i stylizacji, wziąć za symbol postępu" (str. 48) i t. p.

Dzięki temu wszystkiemu, to, co gdzieindziej stanowiłoby wadę i co krytyka powinna wytknąć — jak przemilczenie wybitniejszych nowości („Zamek bez nazwy", „Nowy dziedzic") — tu staje się poprostu zasługą i Bogu dzięki, że p. Pogonowski tych przynajmniej nie obrzydził swemi streszczeniami i pompatyczną oceną. (P.)

WYSTAWA PRASY I KSIĄŻKI KATOLICKIEJ

DOROBEK prasy i książki katolickiej w odrodzonej Polsce—jak można się przekonać na interesującej wystawie w gmachu Min. Spraw Wewn. — przedstawia się poważnie. Wystawa ogranicza jednak swe zbiory wyłącznie do prasy i książki kościelnej, bądź też formalnie z organizacją kościelną związanej. Nie trzeba zapominać, iż zasięg wpływów katolicyzmu w prasie i książce sięga w Polsce znacznie dalej, dość wspomnieć obfitą literaturę i prasę Obozu Narodowego.

Książki skompletowano na wystawie według następujących działów: ascetyka, rozważania, życiorysy, kaznodziejstwo (z dziełami J. E. ks. biskupów Teodorowicza, Szlagowskiego, Adamskiego, ks. prał. Kłosa), filozofja, liturgja, Pismo Św., historja, prawo, Akcja Katolicka, nauki społeczne, wreszcie dziełka popularne, podróże oraz książki dla dzieci i młodzieży.

Lwia część produkcji wydawniczej książki katolickiej jest zasługą księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

Prasa katolicka legitymuje się przedewszystkiem poznańskim „Przewodnikiem Katolickim", który z dumą w swym prospekcie zamieszcza mapkę całego świata, wykazując, iż wszędzie „Przewodnik" dociera.

Jeszcze większym rozmachem imponują wydawnictwa Niepokalanowa—Klasztoru OO. Franciszkanów pod Warszawą, którzy wydają znany miesięcznik „Rycerz Niepokalanej", drukowany w 700 tysiącach egzemplarzy (w tem 22 tysiące dla zagranicy), oraz „Rycerzyk Niepokalanej" dla młodzieży w 120 tysiącach. Oprócz OO. Franciszkanów prezentują swój dorobek wydawniczy także OO. Salezjanie i Pallotyni.

Pokaźnie przedstawiają się tygodniki diecezjalne, które dokonały dużych przeobrażeń w stosunkach prasowych.

Prasa misyjna, czasopisma dla dzieci i młodzieży, pisma młodzieży oraz czasopisma dla inteligencji obrazują stan prasy katolickiej. Czasopismo akademickie „Młodzież Katolicka" wystąpiło samodzielnie, przedstawiając swój plon.

Całą prasę katolicką wydajnie zasila Katolicka Agencja Prasowa (K. A. P.), która w pomysłowem stoisku przedstawia swój pożyteczny wysiłek (K. A. P. obsługuje 60 pism krajowych i zagranicznych).

Do udatnych pomysłów należy zaliczyć zestawienie ilustracyjne propagandy antyreligijnej, która w niewybredny, ordynarny i kłamliwy sposób, zwłaszcza w Meksyku i Z. S. S. R, dokonuje dzieła zniszczenia, w przeciwieństwie do propagandy katolickiej, głoszącej dzieło miłosierdzia.

Na uwagę zasługują też afisze paryskiej *„Revue de lectures"*, propagujące pożyteczne i moralne książki, filmy, powieści, gazety.

Wystawa prasy i książki katolickiej obala fałszywą legendę o braku dorobku katolików w tej dziedzinie.

S. N.

POŻYTECZNA PLACÓWKA

KILKANAŚCIE miesięcy minęło od czasu, kiedy na łamach naszego pisma donosiliśmy o powstaniu polskiej placówki wydawniczej pod nazwą: „Towarzystwo Wydawnicze Młodych Prawników i Ekonomistów".

Trudności, z któremi walczyć musi dziś placówka wydawnicza, są zbyt dobrze wszystkim znane, na tem większe uznanie więc zasługuje inicjatywa młodych wydawców, którzy przystąpili do nierentownej akcji wydawania dzieł naukowych, mając do dyspozycji minjaturowy kapitał zakładowy, jaki uzyskali z rozsprzedaży 20-złotowych udziałów wśród młodego polskiego pokolenia prawników i ekonomistów.

Rezultaty, osiągnięte przez Towarzystwo Wydawnicze Młodych Prawników i Ekonomistów zasługują pod każdym względem na baczną uwagę.

Poza akcją wydawniczą jednem z pierwszych posunięć młodych wydawców było zorganizowanie obszernego i wzorowo prowadzonego działu prawno-ekonomicznego w „Księgarni Rolniczej" (Warszawa, ul. Mazowiecka 10). Przez zorganizowanie tego działu ruchliwi wydawcy umożliwili polskim sferom prawniczym i gospodarczym nabywanie książek w księgarni p o l s k i e j. Społeczeństwo polskie winno im być za to szczególnie wdzięczne: jak bowiem wiadomo, księgarstwo prawnicze było dotychczas w 100% monopolem żydowskim.

Sama działalność wydawnicza Towarzystwa rozwija się coraz pomyślniej. Tom za tomem opuszcza prasę — a są to przeważnie dzieła wypełniające dotkliwe luki w polskiem piśmiennictwie prawniczem i ekonomicznem. Świetny „Komentarz do nowego kodeksu handlowego" w opracowaniu prof. J. Namitkiewicza, „Nowe prawo o bilansach", „Wyniki bilansowe a rzeczywiste przedsiębiorstw państwowych w Polsce" oraz „Zagadnienie rentowności przedsiębiorstw" w opracowaniu d-ra Tadeusza Bernadzikiewicza, dalej „Kapitalizm i socjalzim a rolnictwo" w opracowaniu T. Świdy i Z. Czerwijowskiego i inne — to wszystko prace wielce aktualne, które szerokiem echem odbiły się w prasie codziennej i zawodowej, zyskując wszędzie oceny bardzo pochlebne.

Pozatem Towarzystwo wydaje bibljografję nowości z dziedziny prawa i ekonomji p. n. „Miesięcznik książki prawniczej i ekonomicznej" oraz przygotowuje zakreślone na szerszą skalę wydawnictwo perjodyczne p. t. „Przegląd prawa i ekonomji", który będzie poświęcony młodej polskiej myśli prawniczej i ekonomicznej.

Ożywiona i ze wszech miar pożyteczna działalność Towarzystwa Wydawniczego Młodych Prawników i Ekonomistów oraz niemałe korzyści, jakie to ostatnie daje swym członkom (50% rabatu na wydawnictwach własnych, rachunek otwarty i rabat w „Księgarni Rolniczej" etc. etc.) powinny zachęcić polskie sfery prawnicze i ekonomiczne do licznego przystępowania do Towarzystwa w charakterze udziałowców (1 udział = 20 zł.), przyczyniając się w ten sposób do jeszcze szybszego rozwoju tak pożytecznej placówki.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

J a l u K u r e k, autor „Grypa szaleje w Naprawie", (Warszawa 1935, Gebethner i Wolff) nie wiele ma wspólnego z futurystą Jalu Kurkiem, redaktorem „Zwrotnicy" ani z Jalu Kurkiem redaktorem konstruktywistycznej (i rachitycznej) „Linji". Wówczas szukał współczesności w modnych prądach, ożywiających literatów Europy, tematy wybierał jaknajbardziej frapujące i „nowoczesne" i był, co tu gadać, wielkim kabotynem a małym pisarzem. Obecnie to wszystko minęło, naleciałości i obcy fason gdzieś się po drodze zagubiły — pozostał wnikliwy i utalentowany autor, zapładniający się nie drukowaną bibułą, lecz rzeczywistością, pulsującą, namacalną i ciężką.

„Grypę" trudno sklasyfikować i schować do jednej z szablonowych szufladek, trzeba znaleźć dla niej tak indywidualne określenie, jak ona sama jest produktem indywi-

dualnego talentu. Powieść pisana reportażowym, montażowym systemem, co więcej, powieść epicka, ogarniająca nie jakąś duszę, czy co gorzej, dwie dusze „na tle“ pewnego środowiska, lecz dająca mocny plastyczny obraz życia polskiej wsi i miasteczka, spojonych w jedną całość, którą jest dzisiejsza rzeczywistość.

Nie znam formalnej przynależności politycznej Kurka, lecz na podstawie „Grypy” łatwo wywnioskować, że jest on narodowcem z ducha—bo nacjonalizm nie polega na deklamowaniu takich czy innych haseł, lecz na odczuwaniu swego narodu i ubraniu owych przeżyć w formy własne, u obcych narodów nie zapożyczone — a to tu jest.

Na dwustu kilkudziesięciu stronach spotykamy conajmniej kilkanaście postaci głównych i wiele drugoplanowych, lecz dzięki umiejętnemu zastosowaniu metody reportażowej czytelnik nie wżywa się w perypetje jednej osoby, lecz żywa się ze środowiskiem, wsiąka w nie, tak jakby sam ten rok życia przeżył w Naprawie czy Jordanowie. Każda osoba, spotkana na stronach „Grypy”, odrazu pochłania uwagę, podobnie jak napotkana w życiu i podobnie jak w życiu odchodzimy od niej, aby po pewnym czasie wrócić lub nie napotkać jej więcej. I każda z owych postaci żyje, ma swoją indywidualność, naszkicowaną bardzo silnie, choć pobieżnie. To nie szablonowi „chłopi” czy „inteligenci”, lecz żywi ludzie, niema tu sympatycznych postaci i czarnych charakterów: wszyscy są sympatyczni lub odpychający w zależności od nastawienia czytelnika, nie patrzymy bowiem na naprawian i mieszkańców Jordanowa oczyma autora, lecz widzimy ich sami.

Autor ma ważniejsze zadanie: zaprowadził nas w ten świat i oprowadza, ukazuje go ze wszystkich, stron i tych odświętnych i tamtych mniej ponętnych, wręcz trywjalnych.

Nieprzyjemnie uderza jeden moment: wyraźna wrogość do kleru i kościoła; gdy na warsztat wchodzi ten temat z objektywizmu Kurka nie pozostaje śladu. Momenty takie są nieliczne, ale właśnie tem wyraźniejsze.

Streszczejąc — tematem „Grypy” jest nędza i nie tyle owa nędza materjalna, co nędza duchowa — dramat pokolenia bez kośćca, bez dostatecznie silnych pragnień, aby je można było zrealizować — ludzie umierają, nie dlatego, że szaleje grypa, głód i brak pracy, lecz że są niezdolni do życia i ta niezdolność — to właśnie grypa szalejąca w Naprawie i Jordanowie. Dziesięć pełnych ekspresji, dramatycznych wątków, składających się na istotny dramat — pasywność.

(K. H.)

*

Trzeci numer kwartalnika *„Verbum”* pod redakcją ks. Wł. Korniłowicza (Warszawa, 1935), a poświęconego zagadnieniom kultury współczesnej, w szeregu artykułów rozpatruje kwestje ogólne z dziedziny ducha i przejawy życia współczesnego w kraju i zagranicą w związku z ideałami i celami wydawnictwa. Artykuł anonimowego autora „O zwyczajności” zaleca podniosłym stylem spełnianie rzeczy zwyczajnych w sposób nadzwyczajny „z pełnią Wiary, Ufności i Miłości”.

Rozprawa „Filozofja przyrody” Jacques Maritaina, prelegenta odczytu „Tagedja humanizmu”, wygłoszonego w Warszawie pod egidą *„Verbum”*, z wszechstronną i wnikliwą znajomością filozoficznej literatury, od Arystotelesa do prób Bergsona, podaje klucz do zagadnień metafizyki.

Jerzy Siwecki w artykule „W obronie humanizmu” ubolewa, że „religja stała się tylko jednym z działów ludzkiego życia, gdy przedtem przenikała wszystko”, przyczem, nie zdając sobie sprawy z istoty narodowości, powiada: „wyodrębniły się i rozpanoszyły moce, na których przerost dziś się skarżymy [kto?] i które ciążą złowrogo na wolności osoby ludzkiej: nacjonalizm, wprowadzający fikcję osobowości zespołu”. Dalej, w tym stylu, sprawozdanie z międzyn. kongresu Tomistycznego w Poznaniu. Szczęściem, że potem następują prześliczne, pełne niewysłowionego wdzięku, natchnione wiersze przedwcześnie zmarłego poety ś. p. Jerzego Lieberta.

Sprawozdanie z książki utalentowanej pisarki Heleny Boguszewskiej „Całe życie Sabiny” i sprawozdania z dwóch książek obcych. W trzecim rozdziale kwartalnika R. M. Blüth wypowiada uwagi o wszechzwiązkowym zjeździe pisarzy sowieckim i ich tendencyjnej produkcji literackiej. Pozatem „List episkopatu niemieckiego”.

Całość *„Verbum”* utrzymana jest pod względem literackim na wysokim i szlachetnym poziomie. Szkoda, że autorzy dostrzegają między Kościołem i narodem rozbieżności i sprzeczności, w rzeczy samej nieistniejące. (A. W.)

*

Mimo snobizmu, prowadzącego do naśladowania i mimo pozorów, życie w Polsce różni się bardzo znacznie od życia na Zachodzie. Nasze warunki rozwojowe, historja dawna i nowsza, aż do sytuacji obecnej, zupełnie wyjątkowej i wywierającej specyficzny wpływ na stosunki społeczne — wszystko to składa się na wyraźną naszą odrębność, potęgowaną jeszcz przez faktyczne odcięcie nas od życia kulturalnego krajów zachodnich barjerą polityczną, paszportową i tą drugą, wzniesioną przez żydowskiego pośrednika w tej dziedzinie. Szczególnie zaś dalecy jesteśmy od Anglji, mającej atmosferę tak odrębną od całego kontynentu. Dlatego wszelkie przekłady powieści, mających za temat satyrę na układ społeczny, czy moralność lokalną, nie mają u nas właściwie racji bytu — są obce i niezrozumiałe. Jeżeli *„Point Counter Point”* Huxley'a cieszył się powodzeniem, zawdzięcza to w głównej mierze snobizmowi — niewątpliwie nie wywarł głębszego wrażenia, o czem świadczy choćby brak powoływania się nań w naszej krytyce literackiej i publicystyce. Obecnie po raz drugi już usiłuje się wprowadzić innego, znacznie zresztą słabszego krytyka współczesnej Anglji, M i c h a ł a A r l e n a, którego powieść „Zielony kapelusz”, bardzo popularna na miejscu, przełożona na język polski przed paru laty nie wywołała żadnego zainteresowania.

„Lilla Krystyna”, wydana niedawno przez Gebethnera i Wolffa (Kraków 1935, str. 332), wprowadza nas również w świat t. zw. inteligencji i niższych sfer arystokracji angielskiej, zawiera dość ciekawy konflikt psychologiczny, niebanalny i przekonywający dzięki błyskotliwości pisarskiej autora i jego znajomości środowiska, które opisuje. Arlen jest Armeńczykiem, urodzonym w Bułgarji (właściwe nazwisko Dikran Kouyoumdijan), naturalizowanym w Anglji i bardzo modnym przed paru laty, co zawdzięcza prawdopodobnie w równym stopniu czarowi egzotycznego pochodzenia i osobistym znajomościom wśród swego obecnego środowiska, jak i lekkiemu sposobowi pisania. Środowisko jego, najmniej może angielskie w Anglji, w przeciwieństwie do innych lubi cudzoziemców i lubi być krytykowane. Powieści Arlena są też wyraźnie ekskluzywne, zawierają wiele aluzyj, mniej lub więcej wyraźnych do osób znanych i popularnych, tem mniej więc dla nas interesujące.

Nieszczęściem, wszystkie istotne zalety „Lilli Krystyny“, mogące z niej uczynić przyjemną lekturę, zniszczyła starannie tłumaczka, p. Marja Kreczowska, daremnie borykając się z trudnościami oryginału, którego często nie udało jej się zrozumieć. Ułatwiając sobie pracę przez opuszczanie całych stron, przeważnie tych, które zawierają dowcipne charakterystyki tego bardzo egzotycznego dla nas środowiska, a pozatem upiększając to, co zostało, licznemi błędami, dokonała tego, że powieść jest ciężka, nudna, drażni niezgrabną polszczyzną, a nawet w niektórych miejscach jest wręcz niezrozumiała. Pozatem w przeciwieństwie do wydań warszawskich tej samej firmy, książka ma szatę zewnętrzną mizerną, druk i papier brzydki i korektę fatalną. Stanowczo, mając tak bogaty wybór z literatur całego świata, można się zdobyć na lepsze wystąpienia wydawnicze. *Noblesse* starej firmy *oblige!* (A. M.)

*

Świeżo ukazała się książka kapitana Zbigniewa Buczyńskiego, nosząca tytuł „Kościuszko nad Ameryką“ (Wydawnictwo Aeroklubu R. P. Nakładem Lucjana Złotnickiego, Warszawa, 1934 r. str. 143). Książka, stylem barwnym i potocznym, opowiada o świetnych sukcesach polskiego balonu w Ameryce.

(J. K.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

W zbiorze p. t. „Wielkie studja historyczne” (wydawnictwo księgarni Fayard'a) wyszła świeżo książka znakomitego publicysty i historyka francuskiego, członka Akademji J. B a i n v i l l e'a, poświęcona dziejom „Trzeciej Rzeczypospolitej” (*„La Troisième République”*).

Autor bada i przedstawia kolejno wielkie wstrząśnienia przez jakie przechodziła, w ciągu sześćdziesięciopięcioletniego swego trwania, respublika parlamentarna, a więc— rządy Gambetty, bulanżyzm, sprawę Panamy i Dreyfusa, wreszcie wielką wojnę i czasy powojenne aż do tragicznych wypadków z dn. 6 lutego bieżącego roku. Moralne i materjalne przyczyny długiego trwania *régime*'u parlamentarnego,

pomimo jego błędy i zbrodnie, odsłania Bainville, trzymając się ściśle faktów i opierając się na dowodach jasnych, bijących w oczy. Jednakże zmuszony jest stwierdzić, iż historykowi „Trzeciej Respubliki“ braknąć będzie klucza do wielu spraw dopóty, dopóki „sprawozdania konwentów masońskich nie zostaną opublikowane”. (W. J.)

MUZYKA

TEATR WIELKI — „Niema z Portici” Daniela Aubera.

Po „Afrykance” Meyerbeera — „Niema z Portici” Aubera. Wielka machina po wielkiej machinie, „wampuka” po „wampuce”. Siedząc w teatrze przez czas pięciu aktów, można się szczerze ubawić, z tem jednak założeniem, że mamy do czynienia z parodją. W takim wypadku wiadomo— „dobry żart tynfa wart”, w innym szkoda i trzech groszy. Jakże nikogo nie wzrusza patos z przed stu lat, który podobno wywołał aż dwie rewolucje. Dzisiaj nastrój wytwarza nie akcja, nie muzyka i nie inscenizacja, ale policja, która po przedstawieniu aresztuje noszących „mieczyki“, godło bardziej widać obecnie porywające od trzech czerwonych (!) sztandarów, któremi się wymachuje z wściekłością „na niby”, przez trzy akty.

Sztuka zawiera wszystkie niezbędne akcesorja, składające się na całość swoistego zupełnie pojęcia opery. W treści i muzyce — koturnowatość, w inscenizacji — kołtunowatość. Śpiewacy mają wielkie role, ale naprawdę to gra tylko niema — Loda Halama i jeden (!) z całej gromady statystów, jakiś żyd, którego pozy stoją na wysokości ówczesnej maniery. Z efektów dźwiękowych należy wymienić, oprócz uwertury, znanej dobrze z repertuaru „kurortowych” orkiestr, szereg aryj, strzały rewolucji, odgłosy burzy (jakże by mogło się bez tego obejść!) i wybuchu Wezuwjusza. Chóry ciągle się śpieszą i ciągle stoją w miejscu, ktoś w punkcie kulminacyjnym tragedji warjuje, ale potem jest mu lepiej, słowem — po co to wszystko?

Czyby nie lepiej było przypomnieć choćby tego samego Aubera, ale prawdziwego, szczerego, w świetle jego opery komicznej?

W. NARUSZ

FILM

APOLLO: „Bengali”, reż. Hathaway, film amerykański.

„Bengali” to pułk lansjerów bengalskich, pełniący ciężką, odpowiedzialną i pełną niebezpieczeństw, służbę na pograniczu Indyj. Przygody tego pułku zostały opowiedziane w sposób nadzwyczaj inteligentny: nie brak tu momentów sensacyjnych, ale właściwie ten film należy uważać za wizerunek charakterów ludzkich. Pokazuje on serce, pod pokrywą szorstkich rubaszności, uczucie, skryte pod maską żołnierskiej powściągliwości; jest dzielny, rzeźki i po męsku umie przeplatać sytuacje dramatyczne z fragmentami pogodnemi w nastroju, lub zgoła żartobliwemi. Jest to ożywcza kąpiel, przyrządzona przez b. inteligentnego reżysera; napozór wydaje się, iż cała wartość filmu tkwi tylko w jego sensie, a nie w treści plastycznej obrazu, ale to są tylko pozory. Całość, żywa i wartka, pod względem wizualnym nie ma punktów martwych i wykazuje także niebylejaką biegłość reżyserską. Ten utwór, w którym ponad wszystkie uczucia ludzkie jest wyniesiona miłość dla ojczyzny i honor żołnierza, należy bezsprzecznie do najlepszych filmów, jakie się w ostatnich czasach u nas wyświetlało i zasługuje bezwzględnie na obejrzenie.

KANDYD

NOWE KSIĄŻKI

Instytut Śląski rozpoczął II tom swych wydawnictw serją zeszytów, zawierających wykłady, wygłoszone w ciągu ubiegłego półrocza w ramach cyklu odczytów p. t. Polski Śląsk. W druku ukazały się dotąd następujące zeszyty:

Zygmunt Wojciechowski. Udział Śląska w dawnem zjednoczeniu ziem polskich. Katowice 1935. Str. 29. (Zł. 1.20).

Wincenty Ogrodziński. Związki duchowe Śląska z Krakowem na przełomie wieków XVIII i XIX. Katowice 1935. Str. 49. (Zł. 2).

Adam Bar. Karol Miarka, jako redaktor „Katolika”, Fragment z dziejów prasy polskiej na Górnym Śląsku. Katowice 1935. Str. 29. (Zł. 1.20).

Kazimierz Stołyhwo. Zagadnienie składu rasowego ludności Śląska. Katowice 1935. Str. 24. (Zł. 1.20).

Skład główny wydawnictw Instytutu Śląskiego na Polskę przyjęła Kasa im. Mianowskiego w Warszawie, na Śląsk zaś Księgarnia T. Mikulskiego w Katowicach.

Krupka Leonard. Przykra sprawa. Rzeczywiste przyczyny nędzy, bezrobocia i demotoryzacji kraju oraz radykalne środki zaradcze. Warsz. 1935. Tyg. „Warta”. Str. 32.

Zaranie Śląskie. Rok XI, zesz. I. Cieszyn — Katowice.

Sprawy Narodowościowe. Rok VIII, nr. 5—6 (1934).

Ruch Literacki, nr. 2 (luty 1935).

Przegląd Współczesny, kwiecień (Warsz. Szpitalna 1). Wydawnictwo św. Wojciecha, Poznań 1935.

Bross St. ks. Myśli św. Augustyna. Wyd. II. (Zł. 1,20).

Folkierski Wład. Mieczem i krzyżem (Ernest Psichari: Myśl, sztuka i życie).

Górski Konrad. François Mauriac. Studjum literackie.

Woroniecki Jacek ks. Pełnia modlitwy. Studjum teologiczne dla inteligencji. Wyd. II. (Zł. 250).

Verax. Masonerja—czem jest a czem nie jest. Przekład ks. Z. Kaczyńskiego.

Sawicki Franc. ks. dr. Dusza nowoczesnego człowieka. Wyd. II. (Zł. 250).

W serji Postacie Świętych wyszły z okładką barwną Leli Pawlikowskiej (egz. 30 gr.): św. Barbara, św. Dominik, św. Krzysztof, św. Anna, św. Franciszek z Asyżu, św. Róża z Limy, św. Michał.

Birkenmajer Józef dr. Zagadnienie autorstwa „Bogurodzicy”. Gniezno 1935. Nakładem *„Studia Gniesmensia”*. Skład główny w księg. św. Wojciecha. Str. 136.

Birkenmajer Józef dr. Wróżka państwa Andrzejów. Bajka. Kraków 1935 (druk. jako rękopis).

Czekalski Eustachy. Srebrne świerki. Powieść. Warsz. 1935. „Płomień“.

Surówka Franciszek. Charakterystyka hymnów Kasprowicza. Studja z zakresu historji literatury polskiej, nr. 12. Warsz. 1935. Kasa im. Mianowskiego. Str. XI i 97.

Księga pamiątkowa mieszczaństwa polskiego w Stanisławowie, 1868 — 1934. Pod redakcją dr. Józefa Zielińskiego. Stanisławów 1935. Nakładem Zjedn. mieszczan polskich w Stanisławowie. Str. VIII i 198 z ilustr.

Czerwijowski Zygmunt i Tadeusz Świda. Kapitalizm i socjalizm a rolnictwo. Warsz. 1935. Tow. Wyd. Młodych Prawników. Księg. Roln. Str. 44.

Prus Bolesław. Pisma t. III. Drobiazgi, t. XVIII—XX Faraon. Gebethner i Wolff.

Czosnowski Wacław. Krwawnik. Powieść. Warsz. Gebethner i Wolff.

Ossendowski Fr. Antoni. Nauczycielka. Powieść. Poznań. E. Wegner.

Czachowski Kazimierz. Marja Rodziewiczówna na tle swoich powieści. Poznań 1935. E. Wegner. Str. 208.

Romain Rolland. Dusza zaczarowana. I. Anetka i Sylwja. Wyd. III. IV. Zwiastunka. Poznań. E. Wegnera.

Chałasiński Józef. Antagonizm polsko-niemiecki w osadzie fabrycznej „Kopalnia” na Górnym Śląsku. Warsz. 1935. Dom Książki Pol. Str. 138.

W Bibljotece młodzieży. Polska i świat współczesny, wydawanej u Gebethnera i Wolffa wyszły obecnie tomiki: Muszałówny K. „Pod Olimpijskim sztandarem“.—Morcinka G. „Duńskie serce“.—Górskiej H. „Chłopcy z ulicy”. — Machniewicza S. „W grobowcu Tutankamona“. — Ostrowskiego J. „Polscy konkwistadorzy“.—Osińskiej J. „Na Jamboree“.

Niepodległość. Warsz. 1935. Tom XI, zesz. 2 (28).

WIZERUNKI POLITYCZNE

W ŻYDOWSKIM „*Hajnt*'cie" dziennikarz B. Singer zamieścił charakterystykę trzech twórców konstytucji i ordynacji wyborczej: pp. Sławka, Cara i Podoskiego. Tak ona wygląda w streszczeniu:

„Nowa Konstytucja zawiera takie przepisy, że znane funkcje „interpretatorskie" będzie musiał p. Car spełniać jeszcze b. długo. Pełni on je właściwie od 1927 r. Początkowo działał z ukrycia poza plecami min. Meysztowicza. Później już ukazał się otwarcie na stanowisku ministra sprawiedliwości. Jest układny, unika starć z opozycią, ubiera swoje wystąpienia w formułki prawne. Zdawało się, że przed wyborami do Izb w 1930 r. będzie premjerem. Nie stało się to na skutek jego stanowiska w sprawie brzeskiej: prawnik zwyciężył w nim piłsudczyka. „Wskutek tego awansował obecny minister sprawiedliwości, Michałowski, a Car, jak wszyscy, którzy na chwilę pozwolili sobie na wątpliwość, został wysłany na stanowisko rezerwowe. Został „zesłany" do Sejmu".

Jego rola w Sejmie polegała na stałych dyskusjach o legalności. Do 1930 r. — „był on bezpośrednim prawniczym interpretatorem roli Belwederu. Od r. 1930 pełni Car te same funkcje przy Sławku, wiernym uczniu Belwederu".

Prezes Klubu B. B., p. Walery Sławek, jest politykiem-poetą. „Wyraża on swoje myśli w formie na poły zamglonej, okraszone alegorjami. Znajduje się pod silnym wpływem Słowackiego i Żeromskiego, a wicemarszałek Sejmu nadaje jego myślom formę prawną. Prezes poetyzuje, a były minister przetwarza jego poezje w paragrafy".

Wspólna praca zbliżyła tych ludzi. Przeszli na „ty". W opracowaniu Konstytucji brał udział jeszcze W. Makowski, ale był za „miękki", musiał odejść. Jego nazwisko oficjalnie nie figuruje w liczbie twórców Konstytucji. Natomiast figuruje trzecie nazwisko — Podoskiego, sędziego z Wileńszczyzny. Hr. Rostworowski, referent Konstytucji w Senacie, jest tylko figurantem. Odczytywał to, co mu napisali wymienieni 3 współautorzy. Przedmowa do Konstutucji, którą napisał, była „silnie cenzurowana na tajnych konferencjach".

Gdy Podoski wystąpił w 1928 r. w Sejmie, jako oponent Liebermana, śmiano się z niego, bo słabo argumentował. Był przedstawicielem obozu konserwatywnego. Miał jeden *plus*: „Wielka praca wymagała również szczegółów — postawienia kropki, dawania prasie komunikatów, poprawiania mów Cara i Sławka, załatwiania biurowej pracy przy uchwalaniu Konstytucji. Podoski wykonał swoją pracę wiernie. Jak cień szedł za dwoma wymienionymi i po pewnym czasie stał się trzecim".

Jest on wymieniony w liczbie trzech, jako kandydat do orderu Orła Białego za pracę nad Konstytucją. „Gdy nadejdzie czas i zostanie przebaczone Carowi jego wahanie się w 1930 r., razem z nim awansować będzie jego cień, ten trzeci poseł Podoski. Jakkolwiek wyżej ze wszystkich wzniesie się trzeci z nich, kolega Sławek. Nastąpi to zaraz po nowych wyborach do Sejmu i Senatu".

Autor nie wyjaśnia, na czem może polegać jeszcze większe „wzniesienie się".

*

„Kurjer Poznański" przypomina, że pp. Car i Podoski nie tak dawno zajmowali inne stanowisko. Ostatni z nich na posiedzeniu Komisji Konstytucyjnej Sejmu w d. 21 stycznia 1932 r. mówił:

„Nie podzielam poglądu, jakoby poziom Sejmu, zarówno moralny, jak intelektualny mogło podnieść ograniczenie zasady proporcjonalności i zniesienie list państwowych oraz wprowadzenie systemu głosowania na osoby, a nie na listy".

„Pomimo stwierdzonych wad, system wyborów stosunkowych w skombinowaniu z systemem list państwowych ma tę niewątpliwą wyższość, że zespala zbliżone do siebie ideologicznie ugrupowania polityczne różnych dzielnic państwa, a tem samem przyczynia się do szybszego scementowania i zatarcia granic zaborów w psychice obywateli Polski współczesnej. System wyborów większościowych, uzależniając w wyższym stopniu posłów od miejscowych wyborców i czyniąc ich w praktyce reprezentantami interesów lokalnych — sprzyjałby tem samem rozwojowi tendencyj separatystycznych i niechęci dzielnicowych, tak jeszcze żywych w poszczególnych częściach Rzeczypospolitej. Pozatem system wyborów stosunkowych ma tę niewątpliwą zaletę, że usuwa przypadkowość wyniku wyborów, a tem samem układ sił politycznych w Sejmie czyni niezależnym od ślepego trafu...

„Ze względu na powyższe zalety systemu wyborów stosunkowych, uważam, że jest on najodpowiedniejszym systemem wyborczym do parlamentu politycznego..."

Liczbę posłów p. Podoski określał conajmniej na 360.

P. Car mówił tak:

„W dyskusji prawniczej i publicystycznej poruszano już nieraz kwestję systemu głosowania na listy i na osoby. My się oświadczamy za systemem list, gdyż doświadczenie dotychczasowe pod tym względem wskazuje na to, że system list ma pewną przewagę, bo doprowadza do większej konsolidacji i umożliwia parlamentarną większość.

„Opowiadam się też za proporcjonalnością. System większościowy jest mniej słuszny, bo nie daje ludności podziału mandatów w stosunku do rozporządzalnych głosów. Drugą zaletą proporcjonalności jest to, że skoro mamy tereny pod względem narodowościowym mieszane, należy dać sposobność dojścia do głosu obu elementom. Jestem dalej za tem, żeby utrzymać listy państwowe, bo one, premjując większe stronnictwa, doprowadzają do wytworzenia większości".

W ciągu trzech lat, jak widzimy, poglądy triumwiratu zmieniły się gruntownie. Nie pozostało z nich ani śladu.

P.

NA MARGINESIE

„Czas" drukuje obecnie ankietę z odpowiedziami wybitnych jednostek na temat wpływu epoki i środowiska na rozwój indywidualności. Z pośród poetów zapytano czterech: B. Leśmiana (Lessmana), J. Tuwima, J. Wittlina i K. Wierzyńskiego.

Podobno w redakcji „Czasu" planowano, aby, celem jaknajwiększego objektywizmu, pierwsi trzej ocenili środowisko polskie, a czwarty — żydowskie...

*

Żydowski „Nasz przegląd" (15.IV b. r.) donosi: „Starosta grodzki prasko-warszawski ukarał Genię Szwarcberg, właścicielkę przedsiębiorstwa p. f. „Tanie źródło" przy ul. Targowej 36, dziesięciodniowym bezwzględnym aresztem za bezprzykładne paskowanie sprzedawanemi opaskami żałobnemi, a mianowicie: żądanie za jedną opaskę 1 zł. 10 gr., podczas gdy cena takiej opaski wynosi przeciętnie od 50 do 60 gr.".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM